Nr. 161. Lwów — Sobota dnia 16 Lipca. **Rok 1892.**

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

Cena prenumeraty we Lwowie: Bez dostawy miesięcznie 75 ct. Z dostawą do domu „ 1 zlr.

Prenumeratę we Lwowie przyjmują: Biuro Dzienników ul. Karola Ludwika l. 9. Trafika przy ul. Karola Ludwika l. 5. J. Walnera przy ul. Czarnieckiego l. 3. „ przy ul. Słowackiego (obok tak. Dissy). Niemojowskiego ul. Jagiellońska l. 4. Prenumerata z dostawą do domu we Lwowie należy składać w Biurze Dzienników ulica Karola Ludwika l. 9.

Numer kosztuje 4 ct.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI

Cena prenumeraty na Prowincyi: Miesięczna zlr. 1·10 | Półroczna zlr. 6· Kwartalna „ 3· | Roczna „ 12·

Za zmianę adresu opłaca się 20 ct. Prenumeratę należy przesyłać przekazami. Do przesyłanej w kopertach pieniędzy należy dodawać 5 ct.

Cena anonsów: Wiersz petitowy w inseratach 6 ct. „ „ w nadesłanem 20 ct.

Prenumerata datuje od 1-go lub od 15-go.

Rękopisów Redakcya nie zwraca.

Dziś: Sob. NPM. Szkapl. Andrzeja. Jutro: Niedz. 6 po Św. św. Al. N. 6 po Sosz. | Adres Redakcyi i Administracyi: **ulica Sykstuska l. 45.** | Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.** | Wschód słońca g. 4 m. 22 Zachód „ „ 7 „ 46 | Długość dnia g. 15 m. 24 Ubyło dnia 2 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 15 lipca.

Ostatni wczorajszy telegram z Londynu, który podawał rezultat 513 wyborów, wykazywał jeszcze maluczką większość konserwatystów. Mieli oni bowiem w połączeniu z unionistami 268 mandatów, podczas gdy Gladstone rozporządzał tylko 263 mandatami, licząc już w to wszystkich Irlandczyków. Zapewne dzisiaj będziemy już mieli ostateczny rezultat wyborów. Zanim więc na tle tego rezultatu będzie można snuć wnioski o przyszłej polityce Anglii, posłuchajmy co piszą z Londynu.

„Z góry już przewidzieć było można — czytamy w jednym z listów — po żywej agitacyi przedwyborczej i z powodu wyjątkowej doniosłości teraźniejszych wyborów, że tym razem daleko więcej wyborców będzie głosowało, aniżeli dawniej, zwłaszcza w 1886 roku. Rezultat przewyższa jednak oczekiwania. Są okręgi, gdzie liczba głosujących wznosiła się o tysiąc kilkaset głosów, co świadczy, że oba walczące stronnictwa wciągnęły do walki wszystkie rozporządzalne siły. To też większość kilkunastu, a nawet kilku głosów, rozstrzygnie niejeden wybór i obali przewidywania najsilniej uzasadnione.

Fizyonomia Londynu jest wysoce oryginalną. Miasto, zazwyczaj posępne, pozbawione ruchliwego ulicznego życia, nie jest obecnie do poznania. W oknach domów porozlepiano plakaty z nazwiskami kandydatów; powiewają tam ich kolory: żółty — liberalnych, niebieski — zachowawczych. Wiele domów nie ogranicza się na nazwiskach, ale przylepia biografie, czyni dramatyczne odezwy do uczuć narodowych i t. d. Na każdej ulicy, w każdej dzielnicy, są biura komitetów wyborczych, ozdobione nietylko adresami, transparentami, ale i portretami kandydatów oraz mężów stanu, pod których wezwaniem się przedstawiają. Ale najwięcej wrażenia i ciekawości wśród tłumów, gromadzących się przed temi biurami, budzą karykatury i komiczne wizerunki. Jest ich niewyczerpana ilość i rozmaitość. Trzeba przyznać, że zachowawcze stronnictwo pokazuje pod tym względem niezaprzeczoną wyższość. Ilość karykatur Gladstona, i to karykatur doskonałych, jest nieprzebraną. Po większej części są to znacznie powiększone plakaty z ilustrowanego ultra-zachowawczego tygodnika „St. Stephen's Review". Ogromne ma powodzenie po wielekroć powtarzany olbrzymi transparent, przedstawiający pociąg, pędzący po drodze żelaznej, w poprzek której Gladstone rzucił ścięty pień drzewa. (Wiadomo, że ulubioną jego rozrywką jest ścinanie drzew starych w parku). Jego portret, w ogromnych kołnierzykach, w postaci dyabła straszącego irlandzkiem widmem, rozrzucany jest wszędzie. Całe szeregi tak zwanych „sandwich-men", obnoszących proklamacye kandydatów, agentów, którzy rozdają odezwy komitetów, otwarte listy, obrazki, karykatury, fotografie kandydatów, snują się po ulicach. Nie można się schronić przed nimi nawet w domu, gdyż nietylko, że poczta przynosi co chwila okólniki, listy prywatne (litografowane) kandydatów, ale drzwi się nie zamykają przed dobrowolnymi ich pomocnikami, którzy przychodzą zagrzać zapał głosujących i przedstawić im konieczność wotowania za ich kandydatem, jako jedynie dobrym. Niezmordowaną pod tym względem działalność rozwijają szczególniej damy „Ligi Pierwiosnku". W epoce wyborów pokazuje się w całej pełni doskonałość i znaczenie tej organizacyi.

Ostatnim aktem propagandy są naturalnie meetingi, na których każdy z kandydatów przemawia do swych wyborców, otoczony na wzniesieniu przez dostojników stronnictwa i znakomitości miejscowe. Zebrań takich jest kilka w ciągu dnia. Trudno pojąć, jak kandydatom głosu i gardła starczy. Często przychodzą im z pomocą żony. Wsławiły się dwie szczególniej: pani Stanley, żona afrykańskiego podróżnika, która lżyła robotników w Lambeth, i pani Cornwallis Wests, która zaczęła rozdawać kułaki swym przeciwnikom. Płeć piękna bierze widocznie sprawę do serca — i to w sposób gwałtowny!

Od czasu otwarcia urn wyborczych, do których składać można głosy od ósmej rano do ósmej wieczorem, uorganizowane są biura do zbierania tych głosów. Taktyka ich polega na zwożeniu swych stronników, a utrudnia dotarcie do urn przeciwnikom. Wszyscy, posiadający powozy prywatne, oddają je na usługi swego kandydata. Jestto widok zaiste niezwykły: w uherbowanych karetach, z upudrowanymi lokajami, spostrzegasz robotników, uczernionych od pracy, z narzędziami w kobiałce i śniadaniem w garnuszku; rozpierają się oni i uśmiechają ironicznie z wyjątkowej pozycyi, w jakiej się znajdują. Rzecz prosta, że często tak werbowani stronnicy płatają figle, i obiecawszy swój głos jednemu kandydatowi, dają go w ostatniej chwili jego przeciwnikowi. Ale w ogóle jestto rzadki wyjątek. Panuje rygor i dyscyplina, a głosujący biorą swój wyborczy obowiązek na seryo.

Pierwsze rezultaty są dotąd, jak z góry było wiadomem, pozbawione doniośląjszego znaczenia. Wybrani zostali naprzód ci, którzy stawali sami w szrankach wyborczych, bez współzawodnika. Taki wybór, nazywający się walk over (przechadzką), jest czystą formalnością. Było ich kilkanaście, a między innymi wyszli z nich: lord Randolph Churchille, p. Goschen, oraz deputowani mianowani przez uniwersytety, jak sir John Macolry, wybrany przez Oxford, sir John Lubbock — przez uniwersytet londyński".

W następującym znów liście piszą:

„Ogromny entuzyazm wśród tłumów wywołała dziś wiadomość, że na przedmieściu londyńskiem West Hams wyparto dwóch ministeryalnych deputowanych. Jestto dla przychylania się stolicy ku liberalnemu stronnictwu wróżba pomyślna. Rezultatów, ogłaszanych przez transparenta na klubach i redakcyach gazet, oczekiwały dzisiejszej nocy tłumy publiczności. Przed redakcyą „Daily News" i przed pałacem narodowo-liberalnego klubu, policya zmuszona była rozbijać zbitą a rozgorączkowaną masę, witającą wiwatami bez końca każdą nową depeszę, zwiastującą zwycięstwo liberalne. Dzień dzisiejszy jest mniej ożywiony, bo deszcz leje jak z cebra; ale pomimo to wieczorem tłumy oblegać będą sale domów gmin, gdzie asesorowie obliczają głosy i ogłaszają ostateczny ich rezultat.

Naturalnie, nie ma czasu na czytanie mów, jakie nam dzienniki przynoszą z prowincyi. Wielkie mowy wypowiadane w szkockiej objazdowej podróży przez Gladstona, same jedne tryumfują nad zobojętnieniem nieunikniouem w tej chwili. Mowa, jaką miał w Glasgowie, uważana jest powszechnie za arcydzieło. W końcowej alegoryi, gdzie mówca przypomniał poetyczną legendę Kastora i Polluxa, których wizerunek wystarczał do uspokajania wzburzonych fal morskich, porównywał ów wizerunek do samej zapowiedzi samorządu dla Irlandyi: Nie represya, ale ta zapowiedź uspokoiła wzburzony naród."

W liście datowanym z 5 lipca czytamy:

„Deszcz nie przestaje lać, ale ulice zapełnione tłumem, oczekującym wiadomości o dzisiejszych rezultatach. Wiele oczekiwanych depesz nie nadeszło jeszcze z 62 wyborczych okręgów. Wiadomo już jest jednak, że w dwóch okręgach Londynu liberalni zwyciężyli, usunąwszy dwóch wysoce niepopularnych kandydatów, z których jeden był słynny Stanley Africanus, a drugi nie kto inny, jak R. Chamberlain, brat birminghamskiego wodza. Ale jeżeli wygrali whigowie w tych dwóch okręgach, to nie udało im się wyprzeć torysów z kilku innych ważnych londyńskich dzielnic. Napływ głosujących był większy, niż kiedykolwiek."

Wczorajszy telegram z Paryża doniósł, że w miejscowości Aubervilliers, leżącej między Paryżem a Saint Denis, umarło pięć osób na cholerę. Dotychczas we wszystkich depeszach z Paryża podkreślano z naciskiem, że wypadki choroby, skonstatowane w kilku miejscowościach Francyi ostatniemi dniami, są tylko choleryną, czyli t. zw. *cholera nostras*, — obecnie jednak zdaje się nie ulegać wątpliwości, że choroba, która we Francyi wybuchła, jest azyatycką cholerą. Oto co piszą w tej mierze z Paryża do *Gazety Kolońskiej*: „Że pojawiająca się u nas „cholera nostras" jest czemś bardzo niebezpiecznem, dowodzą najlepiej daleko idące środki zaradcze, przedsięwzięte przeciw niej, środki, którychby z pewnością nie przedsiębrano, gdyby się rozchodziło tylko o cholerynę.

W całym Paryżu zaczynają wodę filtrować, na przedmieściach urządzono strażnice sanitarne, w których lekarze muszą czuwać dniem i nocą. Mówią nawet, że za miastem wybudowane zostaną baraki na pomieszczenie lazaretu cholerycznego, gdyż władze liczą się już z możliwością przepełnienia wszystkich szpitali miejskich, a nadto chcą w ten sposób zapobiedz rozszerzaniu się zarazków w mieście. Jedna z pierwszorzędnych powag lekarskich, profesor Peter, utrzymuje z całą stanowczością, że skonstatowane dotychczas we Francyi wypadki choroby są cholerą azyatycką, inni lekarze nie podzielają jego zdania, ale też nie mogą go zbić naukowemi argumentami. Naczelny lekarz szpitalu Lariboisière, w którym leczono wiele tych osób, które ostatniemi czasy zachorowały na ową podejrzaną biegunkę, rzekł, że choroba ta robi na niego takie wrażenie, jak gdyby to była *cholera nostras*, ale taka, „która się wściekła". W każdym razie dziwna to jest ta „łagodna" swojska cholera, na którą umiera 50 procent osób nią dotkniętych i która wciąż się rozszerza".

Stracenie Ravachola.

Montbrison 11 lipca.

Godzina kary wybiła! Przed dwiema godzinami padła na rusztowaniu głowa człowieka, którego imię nabrało w całej Europie tak smutnego rozgłosu. Mieszkańcy tutejsi całą noc spędzili na dworze i w szynkowniach, nikomu nawet na myśl nie przyszło udać się na spoczynek. Wczoraj już bowiem wieczorem gruchnęła wieść, że kat paryzki Deibler znajduje się już tutaj ze swoją maszyną. Widziano go około godziny szóstej, jak swoim kulejącym krokiem wspinał się po stromych uliczkach do budynku sądowego, gdzie go przyjął natychmiast prokurator rzeczypospolitej p. Cabannes, który już w południe otrzymał depeszę, donoszącą, że kat przyjedzie. Z Paryża wyjechał Deibler w sobotę wieczorem, a aby zmylić trop anarchistów rozpuszczono pogłoskę, że pojechał do Rennes. Deibler tymczasem ze swymi pomocnikami pojechał przez Orlean, Vierson, Montluçon Gannat, Cremont-Ferrand i przybył tu wczoraj o godzinie 5¼ wieczorem. Dopiero po jego przybyciu zaczęto się naradzać nad wyborem miejsca stracenia. Poprzednie egzekucye wykonywano na placu św. Jana, plac ten jednak jest zanadto otwarty ze wszystkich stron, dla tego też wiedziano z góry, że dla Ravachola wybrane zostanie inne miejsce. Deibler zabawiwszy kwadrans w budynku sądowym wyszedł tylną bramą i przypatrywał się chwilę pustemu placowi, zajmującemu wszystkiego kilkanaście metrów kwadratowych, a położonemu tuż obok bramy więzienia. Plac ten nosi nazwę „placu więziennego". Przypatrzywszy się temu placowi udał się Deibler do hotelu „Tête d' Or" tuż obok koszar. Tłumy ludności ruszyły tymczasem na dworzec kolejowy, aby przypatrzyć się gilotynie. Zawiodły ich wszakże oczekiwania. Wszystkie przyrządy pana Deiblera zapakowane były starannie, a do tego silny oddział piechoty otoczył plac przed dworcem i nie wpuszczał nikogo. Wkrótce zaczęła do Montbrison napływać ludność z całej okolicy: koleją, wozami, piechotą. Wszyscy dążyli do gmachu sądowego, ale gęsto rozstawione straże zawracały każdego z drogi. Zdala od więzienia stali więc ludzie gromadkami i ilekroć pojawił się jaki woźny sądowy lub dozorca więzienny, obstępowali go i zarzucali pytaniami, czy Ravachol wie już o wszystkiem, co robi i t. d.

Naturalnie nie powiedziano skazańcowi nic o tem, że godzina jego śmierci już bliska, we Francyi dzieje się to dopiero bezpośrednio przed egzekucyą, tylko czcigodny proboszcz tutejszy ksiądz Claret udał się zaraz po godzinie 6 do więzienia i prosił Ravachola o chwilkę rozmowy. Ravachol go nie przyjął i kazał mu powiedzieć przez zarządzcę więzień, że jeżeli poprzednio przyjmował wizyty księdza, to czynił to tylko dla zabicia czasu, obecnie jednak musi zerwać wszelkie z nim stosunki, aby nie wzbudzić podejrzeń u swych przyjaciół anarchistów. Nie zrażony tem kapłan, próbował jeszcze dwa razy widzieć się ze zbrodniarzem, ale nadaremnie, pozostał więc na noc w gmachu więziennym, w nadziei, że przecież w ostatniej godzinie, w obliczu śmierci zdoła zmiękczyć serce tego człowieka i użyczyć mu pociech religii na drogę do wieczności.

O godzinie 9 wieczorem jeszcze nie wiedziano, na którym placu odbędzie się egzekucya. Wreszcie o godzinie ½ do 10 zdecydowano się na malutki placyk bez nazwy, utworzony przez zbieg trzech ulic: sądowej, więziennej i Opatrzności. Placyk ten leży o jakich pięćdziesiąt metrów od głównej bramy więzienia. Teren jego nadzwyczaj nierówny, pełny wybojów. Deibler z pomocnikami udał się na to miejsce, laską narysował kwadrat, w którym ustawiona ma być straszna maszyna i wydał potrzebne wskazówki. Dwaj robotnicy z łopatami i drągami wzięli się bezzwłocznie do zrównania placyku. Oczywiście wojsko i żandarmi nie puszczali nikogo blisko, tylko kilku uprzywilejowanych mogło przypatrywać się tej ponurej robocie. Widok był prawdziwie dramatyczny. Księżyc swojem bladem światłem oświecał robotników, którzy w grobowem milczeniu wykonywali swą pracę, obok nich stał kat i jego pomocnicy, dokoła żołnierze z najeżonemi bagnetami, a obok nich na prawo szare mury więzienia, na lewo kościół.

W trakcie tej roboty przybył sędziwy adwokat Lafay, ustanowiony z urzędu doradzcą prawnym Ravachola. Przypatrzył się chwilkę robotom i kazał poprosić prokuratora i prezesa sądowego i zwrócił uwagę ich na tę okoliczność, że w tem miejscu egzekucya odbyć się nie może, gdyż to sprzeciwiałoby się wyrokowi, który postanawia wyraźnie, że stracenie odbyć się ma na jednym z placów publicznych, a to miejsce nie jest żadnym publicznym placem i nie ma żadnej nazwy. Kat zapytany o zdanie, przyznał słuszność zarzutowi staruszka. Wnet poradzono na to. Prokurator i prezydent sądu wezwali mera do pomocy, odbyli z nim krótką naradę i po kilku minutach przybito na jednym z domów ogromny arkusz papieru, na którym wypisane było „plac opatrzności". Aby zadośćuczynić formalności, dano placykowi temu na prędce nazwę. Tymczasem cały garnizon, składający się z dwóch batalionów piechoty, szwadronu dragonów i wszystkich żandarmów z Montbrison i z okolicznych miejscowości, ustawił się w gmachu sądowym, tudzież w ulicach prowadzących do placu tracenia. Silne patrole przeciągały bezustannie po mieście, osobliwie w pobliżu dworca kolejowego i po wszystkich gościńcach idących za miasto. Po godzinie 2ej w nocy zajechał furgon, zaprzężony dwoma silnemi końmi i otoczony eskortą żołnierzy przed „plac opatrzności." To przyrządy p. Deiblera przywieziono i zaczęto wypakowywać. On sam z latarką w ręku kierował robotami. Wagą wodną wciąż mierzył, czy teren jest całkiem poziomy, kazał jeszcze skopywać ziemię, wreszcie dał znak, aby rozpoczęto składać maszynę. Zaczęło już szarzeć na widnokręgu, gdy dwie belki spojone w górze poprzeczną, t. z. kapeluszem, wzniosły się w górę. Tłumy zebrane za kordonem żołnierzy powitały to zjawisko śmiechem i okrzykami. O godzinie ¾ na 4tą wszystkie przygotowania były skończone. Deibler trzy albo cztery razy spuścił topór, aby przekonać się czy dobrze idzie w fugach, a rzuciwszy jeszcze raz okiem na swoje dzieło, dał znak pomocnikom i skierował swe kroki ku gmachowi więziennemu. Na dworze był już jasny dzień.

W gmachu więziennym zebrali się prokurator Cabannes, dwaj substytuci jego, zarządzca więzień p. Raux i protokolant — i gdy kat dał znać, że wszystko gotowe, weszli do kaźni Ravachola. Morderca starego pustelnika spał snem głębokim.

P. Raux ujął go za ramię i rzekł: „Fatalna godzina wybiła, trzeba przygotować się na śmierć". Ravachol przetarł oczy, rzucił wzrokiem do koła i rzekł: „Dobrze — dobrze!" poczem usiadł na łóżku i zaczął się ubierać. P. Raux rzekł doń: „Ravachol odwagi, przecież będziesz ją miał?" — „Nie bójcie się — odrzekł zbrodniarz — byłoby bardzo źle, gdybym ja jej nie miał". — Chciano mu pomódz ubrać się, ale on nie zgodził się na to i sam włożył na siebie suknie, te same, w których uwięziono go w restauracyi Very'ego. Gdy się ubrał, wziął go prokurator na bok i rozmawiał z nim chwilę w cztery oczy, poczem zaprowadzono go do kancelaryi, gdzie Deibler podpisał już protokół wzięcia w posiadanie skazańca.

Przystąpiono do ostatniej toalety. Pomocnicy kata poczęli wiązać zbrodniarza, on z ironicznym uśmiechem zwrócił się do nich i rzekł: — „Ależ wy to ładnie robicie. Stroicie mnie jak na bal". — „Czy masz może jakie życzenie?" — zapytał prokurator. — „Chciałbym przemówić do tłumów". — Nic mu nie odpowiedziano na to, ale zapytano go, czy nie chciałby pomówić chwilę z księdzem.

„Nie potrzebuję popów — odparł szorstko Ravachol. — Nie miałem nigdy religii. Wszystko to głupota, a ludzie, którzy wierzą, to idyoci".

Ksiądz Claret, stojący w pobliżu, zbliżył się do zbrodniarza a pokazując mu krucyfiks, przemówił rzewnemi słowy: „Bracie! miej ufność w miłosierdzie Boże. — Przypomnij sobie twoje lata dziecinne, przecież matka mówiła ci nieraz o Bogu".

Ravachol odpowiedział na to strasznem bluźnierstwem, tak, że wszyscy obecni wzdrygnęli się.

„Precz ze swoim krucyfiksem — rzekł morderca po owem bluźnierstwie, bo napluję i na ciebie i na . . . . Wasza religia to . . . . wmawiacie w ludzi to, czego udowodnić nie potraficie". — Potem obracając się do pomocników kata, którzy obcinali mu kołnierz u koszuli, rzekł do nich: „Jak wy to ładnie robicie? Widać, że macie wprawę w waszym zawodzie". Nikt mu nie odpowiedział, co go irytowało. „A! nie odpowiadacie? — rzekł wykrzywiając usta — wstydzicie się waszego podłego zawodu? Po cóżeście mnie tak mocno związali, przecież wam nie ucieknę. Jak można tak po barbarzyńsku obchodzić się z człowiekiem. Oto postęp, oto cywilizacya". Przestał na chwilę, myśląc, że przecież kat i jego pomocnicy wdadzą się z nim w rozmowę, a widząc, że wszyscy milczą, rzekł: „Cóż to znaczy? Nikt nic nie mówi. Ależ ja mam ochotę dyskutować. Naprzód dyskusya. Nuże panowie — kto pozwoli trochę dyskusyi?"

Wreszcie zwrócił się do zarządzcy więzień i zażądał wina. Dano mu szklankę wina zmięszanego z wodą. Wypił ją jednym haustem.

Na ulicach tymczasem panował gwar niesłychany. Wśród tłumów śpiewano i dowcipkowano. Naraz ucichło się wszystko i słychać było tylko szepty „Już jedzie". Zegar pokazywał pięć minut po czwartej. Zamknięty wehikuł wytoczył się z bramy więzienia, przed nim szedł stary adwokat Lafay, ocierając łzy chustką, obok niego prokurator i cała komisya sądowa. Dobosze zabębnili, wehikuł zatrzymano tuż obok gilotyny. Deibler otworzył drzwiczki. Z wehikułu dochodził śpiew jakiś — to Ravachol śpiewał, chcąc w ten sposób okazać swe bohaterstwo.

Pomocnicy kata pomogli mu wyjść. Był strasznie blady, usta mu drgały kurczowo, wysilał się jednak, aby udawać zucha i dalej śpiewał obrzydliwą piosenkę, pełną bluźnierstw. Ksiądz Claret jeszcze raz przystąpił do niego, ale Ravachol dalej śpiewał swą ohydną pieśń. Wszedłszy na rusztowanie, zawołał Ravachol: „Obywatele"... Pomocnicy kata schwycili go, przewrócili na deskę, przywiązali do niej i wsunęli pod topór. — „Ależ dajcie mi mówić" — wołał zbrodniarz ochrypłym głosem — ja muszę mówić, ja mam coś do powiedzenia"... Deibler był już przy maszynie i pocisnął sprężynę.

Usłyszano jeszcze głuchy okrzyk: „Vive la Repu...." zmięszany z warczeniem topora, który przeciął egzystencyę zbrodniarza.

---

10)

MOJ WUJ I MÓJ PROBOSZCZ

(Mon oncle et mon curé).

POWIEŚĆ

przez

JANA DE LA BRÊTE.

Uwieńczona przez Akademię francuską nagrodą Montyonu

(Ciąg dalszy).

Suzon, która odgrywała rolę woźnicy, chociaż koń właściwie kierował się sam, siadała po prawej stronie na przedniej ławeczce, a proboszcz obok niej.

Wtedy, jakby na komendę, wszyscy troje zwracali się ku mnie.

— Nie rób mi tu głupstw i nie chodź do ogrodu — mówiła stryjenka.

— Nie narób mi tu panna nieporządku w kuchni — wołała Suzon — Na śniadanie będzie panna miała dosyć cielęciny na zimno.

Proboszcz nie odzywał się nic, tylko uśmiechał się życzliwie i gestem mówił:

— Ona nie chciała, ale ja byłbym cię chętnie zabrał z sobą.

W ten pamiętny poniedziałek wszystko poszło jak zwykle. Poszłam kawałek drogą i niebawem ujrzałam ich znikających, trzęsących się jak kosze z sałatą.

Nie tracąc ani chwili czasu, zabrałam się do wykonania zamiaru dawno już obmyślanego. Chodziło o objęcie w posiadanie biblioteki, od której klucz zabrał był proboszcz. Ale ja nie zniechęcałam się lada czem.

Wynalazłam drabinkę i zaciągnęłam ją pod okno biblioteki; po nadludzkich wysileniach zdołałam ją podnieść w górę i oprzeć mocno o mur. Wdrapawszy się po szczeblach, wybiłam szybę kamieniem, w który się zaopatrzyłam; potem, powyjmowawszy kawałki szkła, tkwiące jeszcze w ramie, wsunęłam w otwór wyższą część ciała i wśliznęłam się do biblioteki.

Padłam głową na posadzkę, zrobiłam sobie ogromny guz na czole, na który nazajutrz proboszcz przyniósł mi maści.

Gdym przyszła do siebie z ogłuszenia sprawionego upadkiem, pierwszem mojem staraniem było przeszukać szuflady starego biurka, w którem spodziewałam się znaleźć klucz, podobny do tego, który proboszcz skonfiskował. Jakoż nadzieje moje nie były płonne — klucz się znalazł.

Zatarłszy o ile możności ślady mojego włamania się do biblioteki, usiadłam w fotelu i podczas gdy wypoczywałam po trudach, wzrok mój padł na dzieła Walter Scotta, umieszczone na półce naprost mnie. Wzięłam książkę na los szczęścia i poszłam do swego pokoju, unosząc z sobą „Piękną dziewczynę z Perth".

Nigdy w życiu nie czytałam dotąd romansu i wpadłam w zachwyt, o jakim nikt nie może mieć pojęcia. Chocbym żyła dziewięcset sześćdziesiąt dziewięć lat, jak poczciwy Matuzal, nie zapomniałabym wrażenia, jakiego doznawałam czytając „Piękną dziewczynę z Perth".

Doświadczałam radości więźnia, przeniesionego z ciemnicy między drzewa, kwiaty, na słońce: albo jeszcze lepiej, radości artysty, który słyszy odgrywane po raz pierwszy, i to w sposób idealny, dzieło swego serca i rozumu. Świat, którego nie znałam, a za którym wzdychałam nieświadomie, naraz objawił się przede mną. W umyśle moim rozjaśniło się tak nagle, iż osądziłam, że dotąd byłam głupią, idyotką. Upajałam się tym romansem pełnym kolorytu życia, ruchu.

Wieczorem, rozmarzona, zaszłam do sali jadalnej, gdzie proboszcz, który został u nas na obiedzie, oczekiwał na mnie niecierpliwie.

Spojrzał na moją twarz z głębokiem współczuciem, i zapytał się mnie troskliwie, co to za wypadek mnie spotkał.

— Wypadek? — rzekłam zdziwiona.

— Całe czoło masz czarne, moja Reginko.

— Błaźnica, musiała włazić na drzewo albo na drabinę — rzekła stryjenka.

— A tak, na drabinę — odrzekłam.

— Biedaczka! — zawołał proboszcz ze współczuciem — i spadłaś na ziemię?

Skinęłam, że tak.

— A przykładałaś arnikę?

— Eh! jest się o co troszczyć! — odezwała się stryjenka. — Jedz ksiądz proboszcz zupę, a nie zajmuj się tą waryatką. Ma to, na co zasłużyła.

Proboszcz już nie pisnął ani słowa, tylko spoglądał na mnie ukradkiem.

Ale ja nie zważałam na to, co się działo dokoła mnie. Myślałam o tej ślicznej Katarzynie Glower, o tym dzielnym Henryku Smith, w którym byłam zakochana, i nagle, ni ztąd, ni zowąd, wybuchłam głośnym płaczem.

— Ach, mój Boże! — zawołał zrywając się proboszcz — moje drogie dziecko, moja kochana Reginko!

— Daj ksiądz proboszcz pokój! — rzekła stryjenka. — Ona zła o to, że z nami nie pojechała.

Ale proboszcz, który wiedział jak niecierpiałam płaczu i że byłam zanadto dumna, żeby zdradzać przed stryjenką przykrość, jaką mi sprawiła, zbliżył się do mnie, zapytał po cichutku, o co płaczę i usiłował mnie pocieszyć.

— To nic, to nic, kochany księże proboszczu — odpowiedziałam obcierając oczy i zaczęłam się śmiać. — Widzi ksiądz proboszcz, ja nie znoszę cierpień fizycznych, głowa mnie boli, a potem, muszę okropnie wyglądać.

— Nie gorzej, jak zwykle — odezwała się stryjenka.

Proboszcz popatrzył na mnie niespokojnie, nie był zadowolniony z mego objaśnienia i przekonany był, że się stało coś niezwykłego. Radził mi, żebym się położyła, co też uczyniłam z pośpiechem.

Upokorzona byłam tem, żem zrobiła scenę rozczulającą; upokorzona tem bardziej, że nie wiedziałam dla czego płakałam. Z radości czy ze złości? Nie byłabym potrafiła tego powiedzieć i zasnęłam powtarzając sobie, że nadaremnie usiłowałabym rozebrać swoje wrażenie.

Przez ten miesiąc pożarłam większą część dzieł Walter Scotta. Od tego czasu doznałam radości wielkich i prawdziwych, ale doprawdy nie wiem, czy były one żywsze od tych, których doświadczałam podczas gdy mój umysł wydobywał się z mgły, jak motyl z poczwarki. Przechodziłam z uniesienia w uniesienie, z zachwytu w zachwyt. Zapominałam o wszystkiem a myślałam tylko o swoich romansach i o pociechach, które podniecały moję wyobraźnię.

Kiedy proboszcz tłómaczył mi jakie zagadnienie, ja myślałam o Rebece, którą zostawiłam sam na sam z templaryuszem; gdy mi wykładał historyę, ja widziałam przeciągających przed mojemi oczyma tych pięknych bohaterów, pomiędzy którymi moje bałamutne serce już z piętnastu na mężów wybrało; kiedy mi robił wymówki, ja słyszałam je ledwie przez połowę, gdyż układałam dla siebie strój, podobny do stroju Elżbiety angielskiej albo Amy Robsart.

— Coś na dzisiaj zrobiła? — zapytywał przyszedłszy.

— Nic.

— Jakto nic?

— Wszystko to już mnie nudzi — odpowiadałam z miną znużoną.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tułów i głowę złożono do kosza i na wozie pod eskortą konnych żandarmów zawieziono na cmentarz.

W godzinę później była golityna już rozebrana, Deibler z pomocnikami odjechał o godzinie w pół do 6, a w miasteczku zapanowała znów cisza.

Z wystawy teatralno-muzycznej.

Pani C. Walewska pisze z Wiednia do jednego z pism warszawskich co następuje: —

W dzień pustka przerażająca, żalem i trwogą serca komitetowych napełniająca pustka. Gdzieniegdzie zbłąkany między Süd-Ost-Nord lub Westportalem cudzoziemiec (reporter lub korespondent pism zagranicznych) wałęsający się leniwie z katalogiem w ręku wzdłuż długich, obrazami i manuskryptami znakomitych ludzi zawieszonych salonów Rotundy; zresztą — cisza, głucha, przygnębiająca cisza, przerywana zaledwie od czasu do czasu hukiem młotków w wykończonym niedawno dziale polskim.

Jaką sumą protektorat wystawy opłaci chwilowy figiel, dotychczas niewiadomo: różni różnie mówią, ogół oblicza straty na setki tysięcy, komitetowi milczą lub twierdzą, iż czas dopiero wykazać może wygraną albo przegraną. Chwilowo, usiłując zrobić z wystawy great attraction publiki wiedeńskiej, obmyślają koncerty, urządzają corso kwiatowe; wieczorami, zwłaszcza w niedziele i święta, park wystawowy ożywia się znacznie, lecz to jeszcze mało, to jeszcze nie to, coby mieć chciano...

Wiedeń wyludniony, jak zawsze w lecie. Ratują położenie cudzoziemcy, przepełniający hotele i mieszkania prywatne, ale — „das genügt nicht“, jak mówi wiedeńczyk: „das macht keine Casse.“

Koncerty wystawowe: szumne to, niezmiernie szumne słowo! Zdawałoby się, iż z najdalszych krańców świata nadciągają śpiewacy, fortepianiści, skrzypkowie, aby dać się słyszeć na międzynarodowej estradzie; tymczasem — cóż są owe koncerty, na które meloman, spragniony doskonałości, podąża tutaj?

Podwójny kwartet włoskich ludowych śpiewaków „Colombo“, popisujących się niedawno w Panopticum berlińskiem; szansonistka węgierska o zdartym, spiczastym głosie, którym kluje uszy, jak szpilkami; tancerka-szansonistka i zarazem premiowana na wystawie w Nicei (grand-prix de beauté) piękność hiszpańska, senorita comtessa Ottero o palących jak piekło oczach, drobnych i białych jak perły ząbkach, o kruczych włosach i wpiętej w nie dyamentowej gwieździe, rzucającej snopy blasków na białe czoło, o szczupłej lecz zręcznej postaci, o zmanierowanych wysoce ruchach, tańcząca bolero hiszpańskie nakształt kankana w „Folies Bergères“. Jeżeli dodamy do tego popis kilku wiedeńskich kawiarnianych śpiewaków i śpiewaczek o przepitych głosach, lecz wysoce komicznych nieraz „fratrach“, figlach czysto miejscowego konceptu i dowcipu; jeżeli uzupełnimy to wszystko występami niezrównanych w swoim rodzaju Szramlerów i Grinzingerów, kwartety smyczkowe, wytwór wiedeńskiej sztuki muzycznej, to będziemy mieli całkowicie obraz „muzyki“ na wystawie.

Pominęłam orkiestrę wojskową i strzelecką, grywającą codzień od godziny 5-ej do późnego wieczora w parku wystawy, grywającą rzeczy lekkie, dostępne dla każdego, najmniej muzykalnego ucha. Pominęłam również jodlujących w kawiarniach przy akompaniamencie cyter Tyrolczyków, których niby szary obłok mglisty, zasłaniają kłęby dymu wypalonych cygar. Włosi rozstrajają nerwy, skoro słyszy się ich więcej nad dwa razy; Tyrolczykom i szansonistkom nie do twarzy w poważnej, akustycznie zbudowanej halli muzycznej, zatem...

Gdzie owo wielkie słowo, stanowiące hasło dla otwarcia wystawy, gdzie muzyka, muzyka prawdziwa?

W ciągu dni dziesięciu dano jedną jedyną symfonię. Wykonanie jej nie pozostawiało nic do życzenia; utwór zagrany pod batutą kompozytora, Anglika Covena, dyrektora orkiestry w Londynie. Nie przedstawiając zbytniej oryginalności, zatrącając na wstępie Wagnerem, w końcu zaś Massenet'em, Delibes'em, zyskał on bardzo przychylne przyjęcie prasy i... niezbyt licznie zgromadzonej publiczności.

Narzekamy na lekkomyślność i brak wyrobionego smaku estetycznego warszawiaków, a jednak — tutaj — Włosi, komik Müller lub piękna Ottero stokroć więcej ściągają słuchaczy co dzień, aniżeli jednorazowy popis Covena.

Na usprawiedliwienie swoje wiedeńska publiczność może mieć tylko wrodzoną sobie niewiarę do mało znanych nazwisk.

Duse, która tak rozentuzyazmowała wiedeńczyków, że w tej chwili kapelusze, bluzki, parasole, ciastka, wachlarze, zawieszone w oknach wystaw sklepowych noszą jej godło, — że starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety, poważni redaktorowie naczelni poważnych pism peryodycznych, zarówno jak nawet woźni teatralni wzdychają na jej wspomnienie, — genialna Duse na pierwszym swoim występie grała tylko w obec nielicznej garstki dziennikarzy, których obowiązek sprawozdawców zmusił do wysłuchania jej. Śmiano się i wstrząsano głowami z lekceważeniem, czytając broszurę Bahra, znanego naturalisty i obrońcy Meterlinka, który (Bahr) pierwszy złożył fanatyczny hołd jej talentowi. Za trzecim występem jednak już tłoczono się do kasy, za czwartym przepłacano i wydzierano sobie z rąk bilety.

Być może, iż symfonia Covena, powtórzona parokrotnie, zdołałaby przyciągnąć liczniej słuchaczy.

Mówiąc o publice wiedeńskiej, trudno uniknąć paradoksów. Przed tygodniem rozpoczęły się w jednej z sal Rotundy koncerty mięszanych chórów amsterdamskich pod wodzą Dau de Lange, zapoznającego słuchaczy z utworami szkoły niderlandzkiej z XIVgo i XVIIgo wieku. Są to rzeczy tak cudownie piękne, a przytem wykonane tak misternie, z taką drobiazgową jednością, z tak genialnem poczuciem stylu, iż trudno wymarzyć wznioślejszą, bardziej porywającą muzykę, a jednak... sala, mogąca pomieścić 700 osób, na owym występie śpiewaków była zajęta do połowy zaledwie. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że kapela amsterdamska ma za sobą bardzo rozgłośne imię, że wie o niej każdy Wiedeńczyk, zgodzimy się, iż nie brak wiary w talent wykonawców wywołał pustkę. Gdyby nie subwencya holenderskiego magnata, komitet wystawy byłby zmuszony opłacić kilkoma tysiącami guldenów parokrotny występ Amsterdamczyków na międzynarodowej estradzie.

Jeżeli chodzi o poznanie ludowej lub czysto miejskiej muzyki niemieckiej, w takim razie zadowolnienie z wystawy można znaleść najzupełniejsze. Chóry i stowarzyszenia śpiewackie napływają z najrozmaitszych stron do prowizorycznej „Musikhalle“. Wczoraj n. p. odbył się popis jedenastu śpiewaków i tyluż śpiewaczek hamburskiego Stadttheatru: damy wystąpiły w niezdarnych kapeluszach i bufiastych spódnicach bierlaenderskich, mężczyźni — w cylindrach i nieestetycznym kostyumie wieśniaków z okolic Hamburga, przypominającym liberyę stangretów. Wykonanie kilku drobnostek Straussa i Gumberta, prócz poprawności i szkolarsko utrzymanego rytmu, nie odznaczało się niczem szczególnem. Stokroć więcej uroku mają t. z. „Natursaenger“, popisujący się w Alt-Wien wraz z kwartetami Szramlerów i Grinzingerów.

W Alt-Wien — to znaczy w odrębnym dziale wystawy, stanowiącym prowizoryczny „Hoher-Markt“ wiedeński z końca XVIIgo wieku. Budynki tu do złudzenia przypominają stare, okopcone, pleśnią trącące, wąskie i szpiczaste domki niemieckie. Całość, urządzona nader zręcznie, trzymana w półświetle, tajemniczością swoją sprawia efekt niezwykły.

Można powiedzieć śmiało, iż życie i cały ruch wystawy tu się koncentruje. Przy głównej bramie wita wchodzących średniowieczny „Nachtwaechter“, czyli powiedziawszy inaczej, zwyczajny, tylko wyjątkową urodą odznaczający się famulus wiedeński, przebrany w odpowiedni kostyum, zaopatrzony w latarnię i wielką, groźną halabardę. Śmiech, gwar, radość ogólna powstaje, skoro ponura ta osobistość z wielką brodą i zmarszczonemi surowo brwiami przystąpi do kogokolwiek, udając prowizoryczne aresztowanie. Tłumy postępują za nim, oklaskując każdy jego dowcip. O kilka kroków od wejścia, kucharz w białej czapce i białym fartuchu, częstując publikę przysmakiem wiedeńskim, pasztecikami, masą z orzechów i maku nadziewanemi, konceptuje na temat średniowiecznych tyrad i radość publiki również nieograniczona. Dalej jeszcze — zbliżamy się do punktu kulminacyjnego: z jednej strony ogrodu, na niewielkiem drewnianem wzniesieniu przed drzwiami średniowiecznej „Bierhalle“, grają Szramlerzy i znani na cały Wiedeń t. z. „Natursänger“ Edi i Bidermann, nieznający jednej zgoła nuty muzycznej. Po przeciwnej stronie, w innym ogródku, naprost innej piwiarni popisują się Grinzingerzy. Tu zarówno, jak i tam, u Szramlerów tak samo, jak i u Grinzingerów, znaleść miejsce przy osobnym stoliku, to prawdziwa wygrana. Cały „beau monde“ wiedeński mięsza się tutaj z plebsem, z wyrobnikami lub drobnymi urzędnikami, którzy po całodziennej pracy przychodzą do Alt-Wien na szklankę piwa i na... muzykę.

Nikt tak nie gra walców, jak Szramlerzy (nazwa ta pochodzi od dwóch braci skrzypków, którzy zawiązali stowarzyszenie); nikt nie posiada tak bogatego repertuaru czysto miejscowych kupletów, jak śpiewacy, popisujący się wraz ze smyczkowym kwartetem Grinzingera.

Czasami, na żądanie wielkich panów, którzy za jeden kuplet kładą na stół 100 złr., daje się tu słyszeć słynny woźnica Bratfisch z Meyerlingu, obecnie, jeżeli nie milioner, to w każdym razie właściciel paru sporych złotodajnych kamienic. Smętnym barytonem improwizuje sam o sobie piosenki. Damy oklaskują go, publiczność woła „bis“; zapał podnosi się do tego stopnia, iż słuchacze chorem wraz z nim śpiewają. Bismark z ks. Metternich, Battenberg, Liechtenstein, ks. Hohenlohe — to goście, których pokazano mi za pierwszą bytnością w Alt-Wien. Służba Bierhalle wyróżnia ich o tyle, iż stawia stoliki dla nich tuż przy samej estradzie; śpiewacy i grajkowie na ich cześć obracają pauzy między wykonaniem jednej piosenki a drugiej; zresztą — Bismark, Liechtenstein i ks. Metternich, to tacy sami goście Alt-Wien, jak rzemieślnik lub robotnik, który tu przychodzi z przyrządzonemi w domu buterszny tami.

Publikę, opuszczającą Alt-Wien, czeka szereg niespodzianek. „Nachtwaechter“, zaczajony przez chwilę, wydobywa się z ukrycia i wszczyna aresztowanie... pań i panien. Kaskady śmiechu, radość i uciecha ogólna; powinszowania tym, do których średniowieczna postać podchodzi: muszą to bowiem być typy skończonej piękności, lub uosobienia porywającego wdzięku.

W oknie średniowiecznego wąskiego domku, nad balkonem z cienkiej blachy, czy też z papieru ukazuje się głowa kobiety w wielkim białym czepcu. Tłumy stają; jedne patrzą na drugich, pytając, co to znaczy? Naraz, głowa znika; w innem natomiast oknie ukazuje się ręka zamykająca lufcik, gdzieindziej jeszcze postać kucharza: wielka woskowa figura, łudząco prawdziwa, z grymasem gderania ku publiczności zwrócona. I ta znika po pewnym czasie; na jej miejsce ukazują się inne, coraz odmienne figury, a radość, zachwyt, uniesienie tłumów rośnie.

Jeżeli protektorat setkami tysięcy opłaci to, co jedni nazywają głupią, niedorzeczną szopką, czem zachwycają się inni, na co kiwa obojętnie głowami partya neutralna, jednem słowem wielką, szumnie istnienie swoje manifestującą wystawę teatralno-muzyczną, to właściciele piwiarni w Alt-Wien z pewnością przez długie lata nie przestaną błogosławić księżnej Metternich za „genialne“ jej pomysły i.... zamiłowanie w sztuce.

Proces przeciw mordercom Belczewa.

Sofia d. 12 lipca.

Zbliżamy się ku końcowi tragedyi, zaaranżowanej ręką rosyjską. Na obu wczorajszych posiedzeniach przemawiał prokurator, uzasadniając winę oskarżonych. Wywody jego zrobiły wrażenie, bo w słowach jego czuć było nietylko chłodną rachubę publicznego oskarżyciela, ale i ból rozżalonego patryoty bułgarskiego.

Na samym wstępie zapowiedział, że będzie surowym i że nie myśli się z tego usprawiedliwiać, bo nie jest winą, lecz owszem cnotą obywatelską zwać rzeczy po imieniu i uwalniać społeczeństwo od trapiących je występków. Wyrok należy do sędziów, a wydadzą go oni niewątpliwie wedle własnego sumienia, nieoglądając się na zdania zagranicy, bo tam inne warunki wytworzyły też odmienne prawa. Sędziom niepotrzeba namacalnych dowodów, aby wydać potępiający wyrok, wystarczy ku temu wewnętrzne przekonanie.

Wina **Milarowa** powstała z błędnych jego zapatrywań na Rosyę. Kto nazywa cara swoim „opiekunem“, ten nie uznaje tem samem władzy własnego kraju. A że Rosyę uważać należy za mocarstwo wrogie Bułgaryi, wskazuje na to odkryty w tym procesie spisek, który miał jej posłużyć do usunięcia z tronu bułgarskiego księcia, powołanego do rządów wolą narodu. Jakim był stosunek Milarowa względem Rosyi, to już określają własne jego zeznania i skonstatowany fakt, że Hitrowo go wspierał. „Słowiański komitet dobroczynności“, od którego otrzymywał pieniądze, postępuje wedle wskazówek polityki rosyjskiej, wszakże członkowie jego są rosyjskimi urzędnikami, nie można się więc łudzić, aby nie działali w porozumieniu z rządem. Tak więc pierwszą winą Milarowa jest, że stał na usługach wrogiego Bułgaryi mocarstwa.

Drugą winę popełnił, zamierzając zamordować księcia. Jego zeznania i pamiętniki dostatecznie to udowodniają. Prokurator wypowiada mniemanie, że tylko przypadek przeszkodził mu w wykonaniu zamachu, a mianowicie aresztowanie jego w chwili, kiedy z rewolwerem w kieszeni oczekiwał na przejazd księcia. Trzecią winą Milarowa jest utworzenie sprzysiężenia na życie Stambułowa. Dowody dostarczone przez świadka Penkowa, wydają się prokuratorowi dostatecznemi do udowodnienia winy, to bowiem, że niektóre ze swoich zarzutów cofnął ten świadek później, nie dowodzi, że i inne jego zeznania są nieprawdziwe, chociażby nawet należało powątpiewać o moralnej jego wartości.

Co się tyczy oskarżonego **Popowa**, jego nieszczęściem było poznanie się z Nabokowem i z konsulem rosyjskim Emilianowem, znanym agitatorem panslawistycznym, bo oni to uwikłali go w spiski. Wina Popowa i **Wasiljewa** nie podlega wątpliwości.

Najciekawszym był z mowy prokuratora ustęp, dotyczący Karawełowa i jego polityki. Mówca skreślił położenie wewnętrzne Bułgaryi i scharakteryzował działalność Karawełowa, któremu to widocznie było nieprzyjemnem, bo nadaremnie silił się na spokój, udawał nieuwagę, odwracał oczy. Prokurator motywując potrzebę surowego postępowania względem Karawełowa, powiedział: „Od kraju, który, jak Bułgarya, ma ustawicznie do walczenia z rewolucyonistami, za ruble kupionymi, nie można spodziewać się łagodności w stosowaniu ustaw.“

Zamordowanie Belczewa, to bardzo smutny fakt, ale większą odeń winą oskarżonych jest dążenie do przewrotu w Bułgaryi. Mordercy Belczewa nie są znani, nie można nawet twierdzić, że się wśród oskarżonych znajdują, ale z rozprawy uwidoczniło się dokładnie ich dążenie do przewrotu. To, co oskarżony Lepawców powiedział, zasługuje na wiarę. Zeznanie jego potwierdził Zdrawków i inni świadkowie. Mówca nie myśli uważać wszystkich świadków za ludzi nieposzlakowanych, ale dlatego wierzy ich zeznaniom, że się nawzajem potwierdzają.

Wina Tomasza Georgiewa i Karagiulowa jest wielką i dostatecznie udowodnioną. Także co do reszty obwinionych utrzymuje prokurator swe oskarżenie z wyjątkiem Milkowa, któremu powiodło się udowodnić *alibi*.

* *

Przekonywujące i wyczerpujące wywody prokuratora przeciągnęły się na oba dzisiejsze posiedzenia. Reasumując zeznania świadków i oskarżonych, uzasadniał on oprócz powyżej już wymienionych winę: Mollowa, Kitanczewa, drugiego Karagiulowa, Bobekowa, Staikowa, Macedońskiego, Karastojanowa i Nojarowa.

Po południu przystąpił prokurator do wniosków. Dla Belikowa wniósł karę śmierci za to, że za rosyjskie pieniądze wydawał rewolucyjne pismo *Dziewiąty sierpnia* i że raz zaczaił się w zasadzce oczekując na prezydenta ministrów, aby go zamordować. Po sformułowaniu wniosków prokuratora co do reszty oskarżonych, zamknięto posiedzenie. Jutro przemawiać będą obrońcy.

Katastrofa w Chamounix.

Druty telegraficzne rozniosły dnia 12 bm. po świecie wieść, że koło Chamounix obsunął się lodowiec i staczając się w dół, zmiótł z powierzchni ziemi kilka miejscowości i setki ludzi pozbawił życia.

Tu już nie zderzenie się pociągów, nie załamanie się mostu, nie kruchość dzieł ludzkich stały się powodem nieszczęścia, ale natura sama wystąpiła w roli niszczycielki, przez co katastrofa cała przybrała cechy głębokiej, fatalistycznej niemal grozy.

Jeden z lodowców, pokrywających górę *Mont Blanc*, mianowicie lodowiec bionassay'ski, leżący na północno-zachodnim jej stoku, stał się powodem zniszczenia. Z lodowca tego wypływa potok, który, stoczywszy się w przepaść, spływa ku miejscowości Bionnay, tu tworzy jezioro podziewne, a następnie wpada do potoku Bon-Nant. Otóż kiedy się lodowiec oberwał, staczając się, wygarnął po prostu wodę z tego jeziora i popchnął ją dalej pod postacią olbrzymiego wału wodnego, niosącego w swych nurtach odłamy skał i brył lodowych a niszczącego wszystko po drodze. O ośm kilometrów od lodowca znajdował się zakład kąpielowy Saint-Gervais. Po drodze leżały wsie Vernet, Lez Praz, Bionnay, Bionessay i Ormay. Wszystkie te miejscowości zostały w znacznej części zniszczone, a ofiary w ludziach obliczają dotychczas na 200. Jak straszliwą była siła owej lawiny wskazuje to, że wioska Le Fayet, o dwa kilometry poniżej Saint-Gervais nad rzeką Arvą położona, na pół zburzoną została. Właściwych rozmiarów katastrofy dotychczas ocenić niepodobna, gdyż cała dolina zapełniona jest jeszcze rumowiskiem, co uniemożliwia niemal przystęp.

W zakładzie kąpielowym Saint-Gervais, znajdowało się w chwili katastrofy ośmdziesiąt gości i dwadzieścia pięć służących. Prawie wszyscy zginęli, a to dlatego, że katastrofa zaskoczyła ich w czasie snu. Około 3. godziny rano uderzyły w zakład ze strasznym hukiem fale wysokości 5—6 metrów, tocząc skały wielkości małych domków i wtłoczyły cały gmach zakładowy w przepaść tuż u jego stóp leżącą. Ocalała tylko ta część, gdzie się mieszczą łazienki, sale do zabaw i t. p. to jest budynek, w którym w owej chwili ludzi nie było. Jeden z gości, który niemal cudem uszedł śmierci, adwokat Seigneux z Genewy, tak opisuje przebieg wypadku:

„O godzinie 2. wszystko spało jeszcze w hotelu, gdy wtem powstał straszny huk; zdawało się, że cyklon przelatuje nad nami. Hotel zachwiał się, jak gdyby od trzęsienia ziemi. Zarzuciłem na siebie ubranie i pospieszyłem do okna. Zrazu nie mogłem w ciemności rozpoznać co się dzieje. Ale zwolna zacząłem spostrzegać, że tam w dole woda rwie i unosi całe bryły kamieni. Miałem jeszcze tyle czasu, aby wyskoczyć przez okno. Za mną skoczyła jedna z pań, znajdujących się w zakładzie. Z okna wydostaliśmy się na dach kościółka, który tulił się do ściany góry. Zaledwośmy się tam wdrapali, runął hotel, grzebiąc wszystko pod sobą i widać było tylko nieustannie toczący się wał wody, porywający całe skały“.

Trzydzieści i parę osób zamieszkujących zakład uratowało się dzięki energii dr. Guyenot'a i fryzyera zakładowego. Dr. Guyenot, spostrzegłszy zbliżające się nieszczęście, biegał od numeru do numeru i kołataniem do drzwi budził gości. Dzięki jemu 15 osób uniknęło śmierci. Fryzyer zaś w ostatniej chwili wpadł na myśl utworzenia z desek, jakie były pod ręką, pewnego rodzaju pomostu, po którym się jeszcze 20 osób uratowało.

Z okolicznych wsi i miast pospieszono natychmiast z pomocą. Ludność, wojsko, żandarmi i lekarze spieszyli z ratunkiem, ale trudnem to było, bo niemal wszystkie budynki się zawaliły, a chcąc do nich dostąpić, trzeba było grzęznąć po wyżej pasa w mule.

Nad rzeką Arwą stoją żandarmi i długiemi żerdziami wyławiają płynące z prądem ciała ludzkie. Przy rozpoznawaniu zwłok dzieją się nieraz wstrząsające do głębi sceny. Niejaki p. Bienvenut, przemysłowiec z Tours, który przebywał wtedy w Sallanches, pomiędzy trupami znalazł ciało swej żony, z którą właśnie wyjechał w podróż poślubną...

Nie brak także zdarzeń cudownego ocalenia. W wiosce Fayet lawina porwała domek pewnej kobiety i osadziła go w mule o 500 metrów dalej, właścicielkę zaś jego rzuciła na bryłę lodu, na której przesiedziała od godziny 2-giej w nocy do 5 rano, dopiero usiłowaniom kilku dzielnych górali powiodło się ją z wielkim trudem przenieść w bezpieczne miejsce.

Jeden z gości zakładowych, który spał na drugiem piętrze, kiedy się hotel zawalił, spadł tak szczęśliwie do wody, że uchwyciwszy się jakiejś belki dopłynął bez szkody do brzegu Arwy, chociaż przyjaciel jego, który spał z nim w tym samym pokoju, zginął bez śladu.

Inny znów przykład niespodziewanego ocalenia nie jest pozbawiony żywiołu humorystycznego. Pewna *miss* angielska, obudzona straszliwym hukiem, wstała z łóżka, ubrała się wedle wszelkich wymagań etykiety, otworzyła drzwi, które były na klucz zamknięte i zasiadła do stołu pisać list pożegnalny do rodziny, ale okazało się to niepotrzebnem, bo ją uratowano.

Katastrofa ta zajmuje żywo umysły w całej Francyi, gdyż wiele rodzin jest w niepewności, czy między pogrzebanymi żywcem gośćmi zakładu nie było ich krewnych. Dla łatwiejszego skonstatowania identyczności wyłowionych ciał, zarządzono fotografowanie ich. Nie w każdym razie może się to przydać, bo większość zwłok jest strasznie pokaleczonych, znajdują się nawet tułowy bez głowy, rąk i nóg. Wedle najświeższych doniesień skonstatowano już brak 160 osób, z tego 75 gości zakładowych, 40 ze służby, a 45 okolicznych wieśniaków.

Rada miasta Lwowa.

Lwów 15 lipca.

Na początku wczorajszego posiedzenia naszej Rady miejskiej postawił p. Niemczynowski wniosek nagły, aby ta komisya, która przed trzema laty wybraną została do zbadania skargi wniesionej przez kilku właścicieli na Wulce, pokrzywdzonych odebraniem im wody źródlanej przez gminę lwowską, wreszcie zadanie swe spełniła i w przeciągu 14 dni po dokładnem rozpatrzeniu całej sprawy przedłożyła Radzie odpowiednie wnioski. Mówca słyszał bowiem, iż mieszkańcy Wulki mocno są urażeni tem, że Rada skargi ich niezałatwiła i zamierzają wnieść zażalenie do Cesarza, podczas jego pobytu we Lwowie.

Wniosek ten poparł p. Ramult, poczem go Rada przyjęła.

Przed przystąpieniem do porządku dziennego, oprócz powyższej, załatwiono dwie jeszcze sprawy nagłe: o rozkwaterowaniu wojsk i o wydzierżawieniu folwarku miejskiego Zubrza.

P. Walichiewicz w imieniu sekcyi IV postawił wniosek, aby Rada uchwaliła kredyt w kwocie 17.000 zł. na wybudowanie 20 baraków, w celu pomieszczenia wojska, które z powodu manewrów będzie skoncentrowane we Lwowie między 17 a 30 sierpnia br. Sekcya postawiła także ewentualny wniosek, aby Rada w tym razie, gdyby część wojska można było zakwaterować w gmachach szkolnych, przeznaczyła na budowę i urządzenie baraków tylko 7000 zł.

Wnioski te przyjęto, a do przeprowadzenia tego kwaterunku wybrano komisyę, złożoną z pp. Walichiewicza, Prugara, Ramulta, Schayera, Gołąba, Świsterskiego, Getritza i Rewakowicza.

Folwark w Zubrzy, na wniosek referenta p. Maryańskiego, uchwalono wydzierżawić p. Wacławowi Stammfestowi za rocznym czynszem w kwocie 4000 zł.

Następnie przystąpiwszy do porządku dziennego, uchwaliła Rada zorganizować szkoły imienia Konarskiego, a to szkołę męzką jako czteroklasowę, a szkołę żeńską jako sześcioklasową.

Równocześnie postanowiono organizacyę nowej szkoły im. Zimorowicza na Łyczakowie (przed rogatką) jako dwuklasowej mięszanej, w połączeniu z ogródkiem freblowskim.

Na posadę sekretarza magistratu postanowiła Rada rozpisać konkurs t. zw. wewnętrzny.

Na tem dla braku kompletu obrady zakończono.

KRONIKA.

Lwów 15 lipca.

Inspekcya załogi. Wczoraj wieczorem pociągiem pośpiesznym z Czerniowiec przybył do Lwowa jenerał broni bar. König, jeneralny inspektor piechoty, celem inspekcyi tutejszej załogi.

Mianowania. Starosta Antoni Lewicki mianowany został radzcą Namiestnictwa i referentem spraw administracyjnych w kraj. Radzie szkolnej.

Z Uniwersytetu. P. Stanisław Eichenbaum, rodem z Mogiły, w Wielkiem Księstwie Krakowskiem, otrzymał na Uniwersytecie Jagiellońskim stopień doktora praw, a p. Naftali Herzig, rodem z Sanoka w Galicyi, stopień doktora wszech nauk lekarskich.

Z Konserwatoryum muzycznego. Uczennice klasy prof. Wszelaczyńskiego, w muzycznem Konserwatoryum lwowskiem, wręczyły nauczycielowi swemu srebrny wieniec laurowy z napisem: „Władysławowi Wszelaczyńskiemu — wdzięczne uczennice z roku 1892“.

Ślub. Jutro w sobotę odbędzie się w Mielnicy ślub hrabianki Halki Dunin Borkowskiej, córki Mieczysława i Maryi z hr. Wodzickich z Kazimierzem hr. Dunin Karwickim, synem Józefa i Krystyny z Nyków.

Rok szkolny zamknięto wczoraj we wszystkich ludowych szkołach lwowskich publicznymi popisami, po których rozdano dziatwie świadectwa.

Dziś skończył się rok szkolny we wszystkich szkołach średnich wschodniej Galicyi, a młodzież szkolna otrzymawszy świadectwa, rozjechała się do domów na sześciotygodniowe wakacye.

Wyjazd kolonistów i kolonistek do Rymanowa nastąpi jutro w sobotę rannym pociągiem. W tym celu stawią się wszyscy interesowani na głównym dworcu punktualnie o godzinie wpół do 6 rano.

Konkursa. Dyrekcya poczt i telegrafów we Lwowie rozpisała z terminem do 30 bm. konkurs na posady ekspedyentów: w urzędzie pocztowym w Nieznajowej w pow. gorlickim i w Kleczy górnej w pow. wadowickim.

Nowa kolej. Generalna inspekcya kolei rozpoczęła trasowanie linii Rozwadów-Jarosław.

Z Rzeszowa donoszą nam, iż Wydział krajowy uwolnił pierwszą związkową garbarnię w Rzeszowie od wszelkich dodatków do podatków z wyjątkiem państwowych, na czas od 1go lipca 1891 do 30go czerwca 1901 r.

Otwarcie i poświęcenie zakładu wodoleczniczego Maryówka, za rogatką Łyczakowską, odbędzie się jutro w sobotę o godzinie 5 po południu.

Popis w zakładzie głucho-niemych. Dnia 14 bm. odbył się doroczny popis w zakładzie głucho-niemych we Lwowie. Kto wie, jak trudną i mozolną jest rzeczą wszczepiać w dzieci, które i słyszą i mówią, pierwsze pojęcia i udzielić im początków nauk, ten będzie rozumiał, jak wytężonej a umiejętnej pracy potrzeba, aby nauczyć czegoś dzieci, które i słuchu i mowy są pozbawione, które nie mają najmniejszego rozwinięcia, z któremi nie ma sposobu porozumieć się, do których przemawia się znakami mimicznymi, nie mając nawet pewności czy dziecko to pojmuje i rozumie. Dusza tych dzieci jakby uśpiona i gdzieś głęboko ukryta, jak ślimak w twardej skorupie. Trzeba dopiero szukać dróg i sposobów, by do tej duszy dotrzeć, by tę skorupę rozbić, a uśpione władze duszy do czynności pobudzić i do świadomości przyprowadzić. Już same usiłowania, aby przyjść z pomocą tym nieszczęśliwym, zasługują na uznanie, a prawdziwa pochwała należy się im, gdy są uwieńczone pomyślnym skutkiem i widoczne przynoszą korzyści, o czem na popisie mieliśmy sposobność przekonać się.

W skromnie ale gustownie przystrojonej sali zebrali się w tym dniu członkowie dyrekcyi zakładu: ks. kanonik Mazurak, p. Mandyczewski Teofil, radzca namiestnictwa, dr. Sawczak Damian, członek Wydziału krajowego, dr. Gerstmann Teofil, członek Rady szkolnej krajowej i p. Cossa Emil radzca Magistratu obok skromnej liczby gości, między którymi zauważyliśmy dr. Sawickiego. Popis wypadł bardzo dobrze. Zakład liczy 72 wychowanków, którzy pobierają naukę w 5 klasach. Nauka bywa udzielana w skromniejszym nieco zakresie jak w szkołach publicznych w tych samych klasach. Obok tego uczą się dzieci wymawiania, u których to jest możliwe, i poznawania mowy z ust. Religii udzielał we wszystkich klasach ks. Czesław Pogonowski, katecheta i rektor zakładu, który doprowadził do tego, że dzieci mają znajomość prawd religijnych, przystępują do Sakramentów św.: spowiedzi, komunii i bierzmowania. Postępowanie jego z dziećmi jest prawdziwie ojcowskie, cechuje je wyrozumiałość a nadewszystko cierpliwość. To też dzieci przy swem kalectwie są wesołe, swobodne, nie widać w nich żadnej trwogi, lęku lub przygnębienia, co spostrzegać się daje w niektórych zakładach zagranicznych, gdzie dzieci bardziej tresują, niżli wychowują. W b. r. rozpoczął praktykę w zakładzie ks. Wilhelm Wagner, który zamyśla poświęcić się nauczaniu nieszczęśliwych głucho-niemych.

Szczupłe grono nauczycielskie składają pp: Mejbaumowa Eleonora, Mejbaum Ewelina, Wilkoszowa Bogumiła, Wolańska Wanda i pp. Mejbaum Antoni i Niedźwiecki Stanisław, którzy prawdziwem zaparciem się, poświęceniem i nadzwyczajną wytrwałością sprawili, że dzieci znaczne i dobre postępy porobiły we wszystkich przedmiotach. Tem więcej uznawać i cenić należy żmudną i sumienną pracę ks. rektora i nauczycielskiego grona, że jednego i tego samego, każde dziecko trzeba uczyć osobno. To też ze łzą w oku podziękował przewodniczący ks. kanonik Mazurak, który umie odczuć niedolę biednych kalek i ocenić pilną pracę, ks. rektorowi i gronu nauczycielskiemu za trudy i mozoły, dla których te słowa uznania i pochwały będą i nagrodą za trudy i zachętą do dalszej pracy.

Czyniąc wzmiankę o tym popisie, chcielibyśmy zwrócić uwagę publiczności na ten zakład dobroczynny, jedyny w kraju naszym, który wychowuje upośledzone dzieci, a kształcąc je w rzemiosłach, przeważnie w szewstwie i krawiectwie, daje im sposób do życia i przysługa się społeczeństwu, bo przysparza mu użytecznych członków, którzy inaczej byliby tylko ciężarem. Zakład ten obecnie, rzec można, do pewnego stopnia jest zapomnianym, ogół nie wspiera go, bo albo o nim nie wie, albo nie pamięta. Obecnie instytucya ta jeszcze bardziej potrzebuje poparcia, bo musi przeprowadzić dość kosztowną a konieczną restauracyę gmachu. Należałoby również pomyśleć o powiększeniu budynku, bo w obecnym stanie rzeczy może pomieścić zaledwie 72 wychowanków, a jak sprawozdanie tego zakładu wzmiankuje, według ostatniego spisu ludności z roku 1891 liczba głuchoniemych w Galicyi wynosi 9.390 głów obojga płci. Przypuszczając, że 10% ich jest w wieku szkolnym, zdolnych do pobierania nauki, wypadałoby co najmniej 900 dzieci, wychowywać w zakładzie. A gdy naukę pobierać może tylko 72 więc reszta tj. przeszło 800 dzieci, z uśpionym umysłem, bez świadomości Boga i bez jedynej pociechy przyszłego życia, nie mając pojęcia co złe a co dobre — żyje, przeważnie wśród najniższych klas społeczeństwa, życiem prawie zwierzęcem.

Zmarli. Emilia z Sochackich Jezierska, żona gr. kat. proboszcza w Hłaszczawie, koło Trembowli zmarła w 65 roku życia. — Dr. Antoni Żminkowski, adwokat krajowy, zmarł we Lwowie dnia 14go lipca. — Teresa z Piotrowskich Glazarewicz, przeżywszy lat 73, zmarła we Lwowie 14 bm. — Henryka Dmóchowska, wdowa po obywatelu ziemskim, zmarła we Lwowie.

Zjazd koleżeński. Słuchacze prawniczego wydziału na Uniwersytecie wiedeńskim, którzy ukończyli w roku 1857 studya, a w roku 1882 święcili zjazdem 25-lecie wyjścia z Uniwersytetu, zebrali się ponownie przed kilku dniami w Wiedniu w udekorowanej na ten cel sali restauracyi Sachera, dla obchodu 35 rocznicy ukończenia studyów. Do uczestników tej uroczystości z Polaków należeli minister Filip Zaleski i hr. Karol Załuski, austryacki poseł na dworze szacha perskiego. W czasie uczty zabierał głos minister Zaleski i wniósł toast na cześć *Almae matris viennensis,* pod której egidą ten zjazd się odbył.

Z Podlutego piszą nam: Willa księdza metropolity Sembratowicza, której uroczyste poświęcenie odbyło się przed kilku dniami, zbudowaną jest cała z drzewa limbowego, według planu inżyniera p. A. Zabokrzyckiego. Piękna ta willa przyczyniła się nie mało do upiększenia naszej wioski.

Budowa tej willi dowiodła również, że limba (tj. nasz cedr), która obficie rośnie w lasach Podlutego, zupełnie dobrze zastępuje przy podobnych bu-

dowlach modrzew, dziś u nas bardzo drogi, gdyż skutkiem zmiany klimatu, staje się on w Galicyi coraz rzadszym.

Odpust zupełny. Papież udzielił wszystkim kościołom Karmelitów i Karmelitanek na całym świecie, odpustu zupełnego *totiesquoties* dnia 16-go bm. jako w dzień Najświętszej Panny Maryi Szkaplerznej, tak samo, jak go już posiadają kościoły franciszkańskim w dzień Porcyunkuli, to jest 2-go sierpnia. Jest to wyjątkowy przywilej.

Ratowanie utopionych. Dr. Labord w Paryżu zawiadomił akademię lekarską, iż wynalazł nowy sposób ratowania pozornie utopionych. Pacyentowi otwiera się usta ręką lewą, prawą zaś wyciąga mu się rytmicznie język możliwie najdalej. Ma to dziwnie dodatni wpływ wywierać na przywrócenie oddechu. Kiedy dr. Labord po raz pierwszy zastosował swój sposób w pewnym wypadku, lekarze już od 1½ godziny napróżno kusili się o przywołanie obumarłego pacyenta do życia.

Z izby sądowej. W Wiedniu toczył się proces przeciwko kilku żydom i wspólnikom ich wieśniakom z Czerniowiec, oskarżonym o to, że rozmyślnie fałszowali plomby przy zegarach w gorzelniach i odprowadzali bez kontroli wódkę, przez co skarb państwa na bardzo wielkie narazili straty. Podczas rozprawy wszystkim oskarżonym udowodniono winę i skazano: Koppela Goldhagena na 10 miesięcy, Barucha Goldhagena na 4 miesiące, Szaje Lannera na trzy miesiące, Jerzego Boreca na dwa miesiące więzienia, a Iwana Kozana na trzy miesiące ciężkiego więzienia. Charakterystycznem jest to, że wszyscy świadkowie włościanie, zeznawali przed sędzią śledczym na korzyść oskarżonych i dopiero podczas rozprawy powiedzieli szczerą prawdę. Zapytani dlaczego to uczynili, odpowiedzieli jednogłośnie, że bali się świadczyć przeciw żydom, bo ci mogliby ich zgubić.

Poświęcenie kaplicy. Piszą nam: W Turówce nad Zbruczem odbyła się dnia 3 lipca piękna uroczystość, a mianowicie poświęcenie kapliczki, którą ludność obrz. łac. z dobrowolnych składek na krańcu wsi postawiła. Uroczystość tego poświęcenia dowodzi, jaka miłość i zgoda panuje u nas między duchowieństwem i ludnością obu narodowości. O godzinie 9 z rana przybyła do Turówki procesya z kościoła parafialnego w Tarnorudzie (na granicy rosyjskiej) pod przewodnictwem swego proboszcza księdza Michała Kordeckiego, a zaledwie zdala na polu można było dostrzedz powiewające chorągwie idącej procesyi, wyszedł naprzeciw także z procesyą ks. Jan Sendecki, proboszcz gr. kat. w Turówce.

Pięknem i uroczystem było spotkanie się obu procesyi, a z dala przysłuchujący się, mógł słyszeć z jednej strony dźwięki pieśni: „Serdeczna Matko“, z drugiej piękną pieśń: „Preczystaja diwo maty“.

Tak zbliżały się obie procesye, a lud, sławiący w dwu pokrewnych językach Królowę niebios, cieszył się, że oprócz różnicy w niektórych obrzędach, nie ma między nim zapory, którąby nie pozwalała zbliżyć się jednym do drugich.

Wreszcie nieznacznie przycichły dźwięki pieśni ruskiej, pozwalając gościom dośpiewać zaczętej pieśni i przyłączyły się głosy parafian łac. z Turówki, którzy z procesyą ruską wyszli naprzeciw swego pasterza. Chorągwie obu procesyi skłoniły się, powitali się obaj kapłani, podając sobie do ucałowania krzyż i relikwie święte i wszyscy wspólnie udali się do cerkwi w Turówce, która była pięknie przystrojoną. Nadmieniam tutaj, że cerkiew nasza jest bardzo piękna, a przytem jest wzorem czystości i porządku, którego ks. Sendecki bardzo przestrzega.

Tu miał ksiądz Kordecki kazanie, a stósowna ewangelia św. „o obfitym połowie ryb i o łódce św. Piotra“ dała mu sposobność do utrwalenia obu obrządków w ich wierze i w jedności Kościoła pod jedną widomą głową Ojca św.

Następnie odprawił ksiądz Kordecki sumę, po której nastąpiły suplikacye i błogosławieństwo Przenajświętszym Sakramentem, a w końcu udały się obie procesye do kapliczki, gdzie obaj kapłani wspólnie dokonali aktu poświęcenia. Dopełniwszy ceremonii, pożegnały się obie procesye i powróciły jedna do Tarnorudy a druga do cerkwi miejscowej. Na nabożeństwie w cerkwi byli także państwo: Rozwadowscy z Turówki i państwo Kieszkowscy z Łuki małej.

Fakt ten podaję do wiadomości publicznej dla tego, że nie znaczy nic bliskość granic Rosyi, nie znaczą nic zabiegi niecnych agitatorów tam, gdzie kapłani żyją w zgodzie i wspólnie się wspierają. U nas lud silnie stoi przy swojej religii i obrządku i nie zdarzają się wypadki przemiany obrządków, bo lud nasz wie o tem, że wiara jego jest jedna i za nic w świecie nie odstąpiłby jej, ani dałby się powodować obcym wpływom. *L. M.*

Egzamin dojrzałości w Kołomyi odbywał się pod przewodnictwem inspektora krajowego p. J. Lewickiego od 7 — 13 lipca; zgłosiło się się 26 zwyczajnych uczniów i 4 externistów. Świadectwo dojrzałości otrzymali: Alimurka Stefan, Dąbczewski Rodian, Donigiewicz Jan, Hlawaty Witold, Kleineder Józef, Kubisztal Stanisław, Lesser Stanisław, Maryński Józef, Ogonowski Włodzimierz, Okołowicz Stanisław, Piotrowicz Leon, Rasch Zygfryd, Salamon Jan (extern.), Sanojca Józef, Schulbann Leibisz (z odznacz.), Seidmann (Wechsler) Aron, Sęk Maryan (extern.), Sternhell Schloma, Tannenzapf (Rothfeld) Mordko, Wisłocki Jan, Zawadzki Marcin (exter.), Zoffal Ludwik.

Dwóch uczniów zwyczajnych i jednego externistę reprobowano na 1 rok, 3 pozwolono poprawić egzamin z 1 przedmiotu po feryach, 2 odstąpiło od egzaminu.

Rozdanie świadectw odbyło się uroczyście w obecności zgromadzonego grona profesorów, do opuszczających zakład abituryentów przemówili gospodarze klasy profesor Kusionowicz i ksiądz katecheta Martini.

Z Brzeska donoszą nam, iż dnia 4 i 5. b. m. odbyła się tam konferencya nauczycieli ludowych z okręgu brzeskiego. Obrady zagaił p. Szymon Matusiak, inspektor okręgowy mową powitalną, w której z zadowolnieniem zaznaczył, iż w okręgu brzeskim szkolnictwo robi znaczne postępy, a nadto wyraził nadzieję, iż niewątpliwie będzie się ono i nadal pomyślnie rozwijać, tembardziej, że teraz polepszono byt nauczycieli, a więc nie będzie utrudniała im pracę ciągła troska o chleb powszedni. Po dokonaniu wyborów sekretarzy, tudzież członków do wydziału konferencyjnego i komisyi bibliotecznej okręgowej, przystąpiono do odczytów i rozpraw nad tematami na konferencyą zgłoszonymi. Rozprawy były bardzo zajmujące; brali w nich udział prawie wszyscy członkowie konferencyi. Uchwalono kilka wniosków, tyczących się nauki hygieny, kaligrafii itd. a nadto postanowiono na przyszłej konferencyi urządzić wystawę szkolną okręgową.

Kleptomania. Do Medyolanu przybyła niedawno bogata rodzina rosyjska, pochodząca z gubernii archangielskiej, a złożona z trzech braci i dwóch sióstr. Młodzi Rosyanie, którzy przyjechali do Włoch dla studyów artystycznych, gdyż zajmowali się malarstwem, zdobyli sobie łatwo sympatyę i wzięcie w kołach tamtejszej arystokracyi, tembardziej, że nie żałowali grosza i hojnie sypali nim na wszystkie strony. Pewnego razu zauważyli znajomi, że najstarszy z braci posmutniał nagle, spochmurniał i często wychodził sam na miasto. Zapytany o powód zmartwienia, przyznał się, że ktoś kradnie mu systematycznie kosztowności, i właśnie przed paru dniami zginął mu drogocenny pierścień, będący pamiątką po matce. Młody człowiek przywiązywał wielką wagę do tej pamiątki i dla tego kradzież wywarła na nim przykre wrażenie. Całemi dniami chodził po mieście od sklepu do sklepu, zatrzymując się przed oknami jubilerów w nadziei, że przecież gdzieś odszuka stracony pierścień, który odznaczał się kunsztowną robotą i oryginalną formą. Nareszcie pewnego dnia z radością dojrzał na wystawie jakiegoś zegarmistrza nietylko pierścień, ale wszystkie skradzione rzeczy. Nazwiska tego, od kogo owe kosztowności nabył, nie umiał kupiec powiedzieć, ale zato dał dokładny jego opis. I cóż się pokazało? Oto, że złodziejem, który młodego Rosyanina pozbawiał pamiątek, był jego rodzony, najmłodszy brat, który posiadał kilka razy większy majątek, niż on sam. Cierpiał on na kleptomanię i jak się przekonano, kradł rozmaite przedmioty w domach, w których bywał, w restauracyach, kawiarniach i muzeach. W restauracyach naprzykład zabierał flaszki, kutle, serwety i całe nakrycia. Czasami z tego powodu miał nieprzyjemne zajścia.

Kiedy bracia przekonali się o nieszczęśliwej jego manii, dodali mu do towarzystwa zaufanego człowieka, który nie odstępuje go ani na krok i płaci restauratorom za ukradzione przedmioty. Lekarze zaś orzekli, że kleptomania jego pochodzi ztąd, iż pewnego razu spadł z konia i doznał lekkiego wstrząśnięcia mózgu.

Temperatura. Termometr + 18° Reaumura, Barometr 758°. Idzie w górę. Pochmurno.

Myśli.

Młodość wygrzewa się na słońcu nadziei, starość grzeje się już tylko przy kominku wspomnień.

Często dopiero zazdrość innych odsłania nam — nasze szczęście.

Odpowiedzi redakcyi. P. N. N. we Lwowie. Prosze się udać do biura komitetu wystawy w Towarzystwie politechnicznem. Rynek 1. 30.

Teatr. Dziś w piątek (15go lipca) w teatrze letnim przedstawienia nie będzie. — Jutro w sobotę w teatrze letnim o godzinie wpół do 8-mej wieczorem: „Spirytyści“, komedya w 4ch aktach Mozera.

Rozmaitości.

— **Z obyczaju berlińskiego.** Niedawno temu zmarł w Berlinie rentyer K., człowiek zamożny, posiadał bowiem dwie kamienice, czyste jak łza, no i nad obcinaniem kuponów niejedną stracił godzinę. Ongi ów kapitalista zwyczajnym był golibrodą, a ponieważ zakład jego leżał w pobliżu koszar pieszego pułku gwardyi, między klientami swoimi liczył wszystkich niemal oficerów pułku.

K. od czasu do czasu pożyczał tym ostatnim drobne sumki na lichwę, szczególniej zaś pewnemu porucznikowi o pięknem nazwisku, zdobnem koroną hrabiowską, cudownej figurze i cudownych wąsach. Prócz tych cudowności jednak, hrabia nie posiadał nic więcej, biednym był, jak mysz kościelna, renta zaś, którą czerpał z jakiegoś rodzinnego funduszu, bodaj czy na rękawiczki wystarczała.

Pewnego dnia, goląc się, jął goły hrabia żale przed Figarem na ciężkie położenie swoje wywodzić, czem do tego stopnia wzruszył golibrodę, iż odkładając na bok brzytwę:

— Ależ, panie hrabio! — zawołał głosem pełnym przekonania — trzeba się ożenić.

— Ba — odparł porucznik — ale z kim i za jaką cenę?...

Tu wystąpił golibroda z gotowym planem.

Pomiędzy klientami swoimi liczył pewnego wieśniaka, prostego sobie człeczynę, który wszakże oszczędnością i szczęśliwym zbiegiem okoliczności pokaźną uciułał fortunkę. Owóż wieśniak ten, nazwijmy go X., prócz znacznego majątku, posiadał wcale dobrze wychowaną, niebrzydką córkę, wzdychającą wielce za tytułem, jeżeli już nie hrabiny, to przynajmniej baronowej. X., człowiek prosty w dobrej żył komitywie ze swoim fryzyerem, nic więc łatwiejszego było, jak nawiązać stosunki, któreby ostatecznie obiedwie strony do upragnionego celu doprowadziły.

Po krótkiej dyskusyi projekt uznano za wykonalny i energicznie zabrano się do dzieła, tak energicznie, że już po kilku miesiącach hrabia narzeczonym był wieśniaczki, spłacił długi i rozległe nabył dobra, w których niebawem, uwolniwszy się od służby, osiadł z żoną.

K. „za fatygę“ okrągłą schował sumkę, z golibrody przedzierzgnął się w kapitalistę, a raz nabrawszy smaku do nowego fachu, w którym zaraz na wstępie tak szczęśliwą powiodło mu się ręką, oddał się wyłącznie stręczeniu małżeństw. Szczęście nie opuszczało go na nowej drodze, klijentów nie brakło nigdy, wierzono bowiem w gwiazdę zręcznego pośrednika, to też, jak na drożdżach, wyrosły dwie kamienice, z hypotekami czystemi, jak łza, i ani wiedzieć, zkąd się wzięła wprawa w obcinaniu kuponów.

A teraz *pendant* do powyższej sylwetki, ale ze świata kobiecego.

Jest nim starsza już, dystyngowana wielce dama, wdowa po urzędniku, podobno tajnym radzcy, radzczynią ją bowiem tytułują. Mieszka na jednej z przedniejszych ulic Berlina, w salonach zaś swoich doborowe przyjmuje towarzystwo.

Szczególniej męzka połowa tego ostatniego nie podlega zarzutom, stanowią ją bowiem: oficerowie, prawnicy, artyści i t. p. — co zaś do dam, zaszczycających obecnością swoją salony pani radzczyni, to podobno trafiają się takie, o których niewiadomo, „zkąd się wzięły“.

Owóż dystyngowana wdowa stręczycielką jest małżeństw, wie o tem Berlin cały, choć niktby jej tego w oczy nie śmiał zarzucić, wszystko w niej tak dystyngowane, i w takim dobrym prowadzone tonie.

Jeśliby który z młodych ludzi zjawił się u niej ni ztąd ni zowąd i zagadnął radzczynię:

— Pani, radbym się ożenić.

Odpowiedziałaby, wzruszając ramionami:

— Mój panie, cóż mnie to może obchodzić.

Gdy się kto wszakże wedle form przyjętych w świecie przedstawi jej urzędownie, a posiada nadto rekomendacyę od bliżej znajomych radzczyni, i prosi o pozwolenie bywania w jej domu, temu odpowiada grzecznie:

— Bardzo proszę! Co wtorek i piątek od 7-ej przyjmuję u siebie.

I oto do danego terminu odwiedzin radzczyni zdąży zawsze potrzebne jej o nowym gościu zebrać informacye, a jeżeli wymaganiom jej odpowiada, wśród wizyty zatrzymuje się się przed nim i od niechcenia zapytuje:

— Wie pan co? Zdaje mi się, że czas byłoby się już panu żenić. Wypadkiem właśnie odwiedziły mnie dziś dwie damy — ta i ta — które doprawdy jakby stworzone dla pana na żony...

O wynagrodzeniu jakiemś ani słówka. Kandydat jedynie do stanu małżeńskiego w dniu, gdy przyjmuje propozycyę, wystawia radzczyni weksel na sumę, której wysokość określa się rozmiarami posagu, płatny w trzy miesiące po ślubie cywilnym z panną taką a taką.

— **Wspaniały dar.** Jak ogłoszono, Paulina Viardot nosiła się z myślą przekazania testamentem konserwatoryum paryskiemu autografu partycyi „Don Juana“, która od dawna już była w jej posiadaniu. Owóż głośna ongi śpiewaczka zmieniła zamiar o tyle, iż, nie czekając śmierci swojej, złożyła w ręce Antoniego Thomasa, dyrektora wymienionego koserwatoryum, cenny rękopis, w całości przez Mozarta sporządzony.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 13 lipca.

(Ż). Dziś oczekiwano na pewno, że nieporozumienie między węgierskim ministrem finansów a grupą rotszyldowską wyjaśni się, gdy jednak żadnej pewnej wiadomości z Pesztu nie otrzymano, rzucono się do sprzedaży wszystkich papierów interesowanych w tej sprawie, a zatem przedewszystkiem kredytów tak austryackich jak i węgierskich. Zniżkę powstałą skutkiem tego zwiększało to, że także Berlin sprzedawał walory austryackie, gdyż opowiadano na giełdzie tamtejszej, że p. Weckerle chce koniecznie bez grupy Rotszyldowskiej przeprowadzić swoje operacye. Także renty miały dzisiaj zły dzień i straciły na kursie. W kilku kategoryach papierów jednak, osobliwie w Länderbankach, Alpinach i akcyach fabryki broni panował ruch bardzo ożywiony. Länderbanki poszły o 3 zł. w górę.

Na giełdach zagranicznych brak było dziś wszelkiej inicyatywy. londyński targ pogrążony w zupełnej stagnacyi, zwycięztwa wyborcze Gladstone'a bardzo niepokoją giełdę.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 312·—, węgierskie 356·—, Anglobanki 151·75, Uniony 242·75, Bankvereiny 113·90, Länderbanki 219·20, Ludwiki 214·—, Czerniowieckie 243·50, Renta papierowa 95·05, srebrna 94·95, austryacka złota 112·60, papierowa 100·90, węgierska złota 110·05, papierowa 100·40, dukat 5·68, 20-frankówka 9·51—, marki 11·73, ruble 1·18.

§ **Inwestycye na kolejach państwowych.** Prezydent jeneralnej dyrekcyi kolei państwowych dr. Biliński wypracował plan inwestycyi, potrzebnych dla całej sieci kolei państwowych w Austryi. Inwestycye te kosztować mają 25 milionów reńskich, na razie jednak domagać się będzie rząd tylko 6 milionów i jeszcze przed odroczeniem Rady państwa wniesie odpowiedni projekt ustawy, który wszakże dopiero w jesieni pod obrady przyjdzie.

Tych sześć milionów zebrać ma rząd w drodze specyalnej pożyczki.

Telegramy „Przeglądu“

Barcelona 15 lipca (pryw.) Wysadzono dynamitem w powietrze część farbiarni sukna w St. Martin. Rozruchy pomiędzy ludnością katalońską trwają ciągle. Ustawicznie nadchodzą wieści o nowych gwałtach. W Oros napadł tłum na urząd gminny, znieważył burmistrza i podpalił archiwum.

Bukareszt 15 lipca (pryw.) Rząd bulgarski zamknął wszystkie porty na Dunaju. Jedni powiadają, że uczynił to ze względu na niebezpieczeństwo cholery, drudzy, że ze względu na proces Belczewa, zbliżający się właśnie do końca.

Paryż 15 (pryw.) Wszystkie dekoracye, w jakie z powodu wczorajszego święta narodowego ustroił się Paryż, nosiły wybitny charakter franko-rosyjski. Nie było prawie domu, na którymby nie powiewała chorągiew o barwach Rosyi. Po ulicach sprzedawano podwójne kokardki o kolorach francuskich i rosyjskich z herbami obu narodów. Przed samym obchodem rozpuszczono w mieście pogłoskę, że anarchiści przygotowują w sam dzień 14 lipca kilka zamachów, które mają być wyrazem zemsty za ścięcie Ravachola. Wszystkie trybuny obstawiono w skutek tego policyantami. Oprócz tego chcieli anarchiści porwać młodego syna Carnota, ale policya w czas dowiedziała się o tem i przeszkodziła wykonaniu zamachu.

Wiedeń 15 lipca. Izba posłów zakończyła wczoraj jeneralną debatę nad przedłożeniami walutowemi. Po przemówieniu mówców jeneralnych pp. Kaizla *contra*, i Mengera *pro* — tudzież po ostatecznym wywodzie referenta p. Szczepanowskiego, przystąpiono do głosowania i przyjęto przedłożenia walutowe 190 głosami przeciw 91.

Saratow 15 lipca. Z powodu pogłoski, że lekarze każą żywcem grzebać chorych na cholerę, przyszło do rozruchów. Tłumy wdarły się do szpitala dla chorych na cholerę i zabiły dwóch urzędników. Zawezwano pomocy wojska, które dało ognia do zbuntowanych, trzech położyło trupem a czterech zraniło i przywróciło porządek.

Budapeszt 15 lipca. Na wczorajszem posiedzeniu sejmu przed głosowaniem nad przyjęciem przedłożeń walutowych zabrał głos minister finansów Weckerle i jeszcze raz podniósł z naciskiem, że zarówno Węgry jak i Austrya mają zamiar po tym pierwszym kroku przeprowadzić całą akcyę walutową. Że oba rządy podejmą wypłaty w gotówce, za to ręczy p. Weckerle całą swoją reputacyą polityczną. — Mowę ministra przyjęto hucznemi oklaskami i ogromną większością przyjęto przedłożenie walutowe w debacie jeneralnej.

Na końcu posiedzenia wniósł hr. Apponyi interpelacyę co do wrzekomego nielojalnego zachowania się urzędowej Rumunii w obec agitacyi Rumunów węgierskich.

Prezes ministrów hr. Szapary odpowiedział bezzwłocznie na tę interpelacyę i podniósł, że rząd rumuński nakazał podwładnym sobie władzom występować jak najsurowiej przeciw tym agitacyom. Z zadowolnieniem skonstatował hr. Szapary, że także rząd rumuński uznaje konieczność utrzymania przyjaźni i wspólnego działania z Węgrami. — Gdyby agitacye Rumunów węgierskich przekroczyły granice ustaw, w takim razie rząd przedłoży legislatywie wnioski celem surowszego wykonywania ustaw.

Cała Izba i sam interpelant hr. Apponyi przyjęli odpowiedź hr. Szapary'ego do wiadomości.

Paryż 15 lipca. Wczorajsze święto narodowe (rocznica zdobycia Bastylii) przeszło bardzo wesoło, ale bez awantur.

Wiedeń 15 lipca. Pewien oszust nazwiskiem Cummingham próbował wczoraj w dwóch bankach tutejszych wyłudzić znaczną sumę pieniędzy. Najprzód zgłosił się do dolno-austryackiego Towarzystwa eskontowego, przedstawił się jako sekretarz ambasady angielskiej i zaprezentował do zapłaty sfałszowany czek ambasadora angielskiego Pageta na 23.000 funtów szterlingów. Urzędnicy bankowi powzięli od razu podejrzenie i posłali po policyę, tymczasem jednak oszust uciekł i próbował jeszcze w Zakładzie kredytowym w podobny sposób wyłudzić pieniądze, ale równie bezskutecznie.

Wiedeń 15 lipca. Dzisiejsza *Wiener Zeitung* ogłasza ustawę o budowie kolei ze Stanisławowa do Woronianki.

Cleve 15 lipca. Sędziowie przysięgli uznali rzeźnika Buschoffa niewinnym, skutkiem czego wydał sąd wyrok uwalniający.

Petersburg 15 lipca. Car powołał do siebie do Peterhofu bawiącego na urlopie ministra finansów Wyszniegradzkiego. Powołanie to stoi podobno w związku z wydać się mającemi zarządzeniami przeciw cholerze.

Londyn 15 lipca. Dotychczas wiadomy jest rezultat 556 wyborów. Wybrano 278 kandydatów rządowych i 278 opozycyonistów.

Wiedeń 15 lipca. Na dzisiejszem posiedzeniu izby posłów postawił p. K a i s e r wniosek o zmianę ustawy z roku 1874 o stosunkach kościoła katolickiego, przez rozszerzenie obowiązku konkurowania na wydatki parafialne. Ten sam poseł interpelował ministra skarbu, kiedy zamierza wnieść projekt do ustawy o wynagradzaniu wójtów gminnych i radnych za czynności poruczonego zakresu.

Izba przystępuje do debaty szczegółowej nad przedłożeniami walutowemi.

Peszt 15 lipca. Sejm węgierski przyjął w szczegółowej debacie wszystkie przedłożenia walutowe.

Praga 15 lipca. Prezydent wyższego sądu zaprosił na dzień 20 b. m. pp. Schmeykala i Schlesingera, mężów zaufania niemieckiego stronnictwa, w celu dalszych narad nad sprawą rozgraniczenia okręgów sądowych.

Londyn 15 lipca. Dotąd wybrano: 243 konserwatystów, 44 unionistów, 235 gladstończyków, 7 parnellistów, 51 antiparnellistów. Konserwatywni zyskali 15 mandatów, unioniści 7 gladstończycy 70.

Przyjechali do Lwowa

dnia 15 lipca 1892.

HOTEL ŻORZA. Br. G. König i K. Meduna z Wiednia. Hr. A. Wodzicki z Olejowa. E. Rosenberg z Ołomuńca. A. Janiewicz i C. Świeżowski z Polski. E. Cordes z Drezna.

HOTEL FRANCUSKI. J. Nirschy z Wiednia. J. Schmahl z Wiednia. Dr. K. Maramorosz z Kołomyi. W. Krzyżanowski z Lisek. M. Budziłowicz z Krakowa. J. Isenberh z Krakowa. D. Münz z Odessy. F. Heller z Weipert. H. Schreiber z Budapesztu. J. Siebenschein z Wiednia. J. Ringer i F. Kühle z Wiednia. G. Geiger z Trautenau. J. Olbrich z Opawy.

HOTEL IMPERIAL. K. Ostaszewski z Grabownicy. M. Kossowski z Petersburga. K. Krasowski z Tyśmienicy. P. Starke z Wiednia. P. Sawczyński z Mogielnicy. A. Gyorgy z Budapesztu. R. Puzyna z Zahajpola. F. Hryniewiecki z Styniatyn. J. Torosiewicz z Sasowa. E. Perkins z Słobody rungórskiej. L. Niewiadomski.

Nadesłane.

Datki na kościół N. M. P. w Kochawinie od 22 listopada 1891 do 1 marca 1892, t. j. za 3 miesiące:

Frań z Jasianowa o uzdrowienie ciężko chorych dzieci 0·50 (i na mszę św.), L. S. z żoną o zdrowie 2, (i na mszę św.), Anna K. z Turzego o uzdrowienie ojca na duszy i ciele 2, Tokarska ze Lwowa o zdrowie córki i zgody między małżeństwem 1, J. S. z Wiśnicza na podziękowanie za wyzdr. 2, L. K. ze Snawidowa prosząc o zdrowie 3, (i na m. św.), St. i Anna ze Stanisławowa 3·40, G. H. II. o spełnienie życzeń 1, Kwiatkowski z Rzeszowa dziękując za wyzdrowienie z ciężkiej choroby 1 (i na m. św.), Suska z Tarnopola o zdrowie dla dziecka 1, R. W. z Mościsk o wysłuchanie prośby i błog. 3, (i na m. św.), Jadwiga tyle razy doznawszy Twej łaski M. N. pokornie proszę o nową 1, A. S. ze Lwowa polecając się opiece M. N. z dziećmi 2 Pociej z Drohowyża o opiekę M. B. 0·25, Wollahrt z Olchowca z dziękczynieniem za podniesienie z ciężkiej słabości 2, Anna R. z Przemyśla polecając ważną sprawę M. N. 1, Sydonia i Wincenty ze Lwowa 2 (i na mszę św.), A. K. ze Lwowa o opiekę M. B. i dobrą radę 2, M. N. z Doliny prosząc o zdrowie 2, Ks. Sulikowski jubilat ze Słociny „aby mi M. N. wybłagała u Boga czego pragnę“ 5, F. B. z Czortkowa z gorącą prośbą do N. M. o uzdrowienie ciężko chorego dziecka na zapalenie płuc 4, Kulmatycka z Kozowy 1, Gromadzka z Podniebyła polecając się z dziećmi opiece M. N. 2, z Żydaczowa 1, W. Berezowski z Rudy kochawińskiej za ocalenie życia z podziękowaniem 3, T. K. z Żydaczowa o pocieszenie w smutku 1, Piątkowska z Pietnic prosząc o wyzdrowienie 3 i na mszę św., Janosz z prośbą o wyzdrowienie 1, E. W. E. z Brodów o wyzdr. 2, S. K. z Tarnopola o zdrowie Zdzisia 1, H. W. z Grzymałowa na intencyę pewnej sprawy 2, Wilczyńska z Rawy o zdrowie Stasia 2, Federowicz z Czernichowiec dziękując za doznane względy 2 złr. 50 ct., J. W. W. z Hurka o zdrowie i spełnienie życzeń 1, Lenczowska ze Lwowa o zdrowie i błogosł. 1, Skulski z Podgórza z pokorną prośbą o podźwignienie z bardzo ciężkiej słabości i spełnienie życzeń 10 talarków, Bilińska ze Lwowa o pociechę w troskach 1, W. B. z Okna o odwrócenie nieszczęść i o zdrowie dla całego domu 1·50, Baczyńska z Podwołoczysk na intencyę powodzenia 1, Szuchtel ze Lwowa za otrzymaną łaskę 2, Klausowa ze Lwowa prosząc M. cudownej o wyzdrowienie z ciężkiej i długiej choroby synka 1, August ze Stryja o zdrowie dla słabych dzieci 2, M. N. z Tarnorudy o opiekę w potrzebie 2, N. N. z Uh. na podziękowanie za cudową pomoc 0·50, A. B. z Ottynii o zdrowie dla córki 1, M. K. dziękując Opiekunce sierót za doznane łaski 2, Hr. Reyowa z Psar 10, Marya, Staś i Łucia z Bursztyna z prośbą o uzdrowienie ciężko chorego Wujcia 3, prócz tego Staś o opiekę M. B. nad sobą 1, A. P. z Kłodna o łaskę i zdrowie dla męża 1, Niewiadomski z Jarosławia z podziękowaniem za wyzdrowienie Bodzia z prośbą o wyzdrowienie reszty dziatek 2, P. i W. H. ze Lwowa prosząc o wyratowanie córeczki z ciężkiej choroby 2. E. z Piemaz o opiekę M. B. Koch. 1, E. S. ze Skałatu o zdrowie matki i opiekuna oraz pociechę w utrapieniu 2 (i na m. św.) Ruszczyńska o uleczenie z ciężkiej choroby osoby drogiej 2, H. W. z Kurzan o wysłuchanie prosby 2 (i na m. św.), J. M. z Czarnokoniec 2, Manaczyński 1, H. L. z Brzeżan o opiekę dla siebie i swoich 1, Muszkowa o uzdrowienie męża 1, A. O. ze Lwowa 5, Cholodnicki z Niebyła za otrzymane zdrowie 5, O. S. o odwrócenie złego 2, Wolfowa z Mościsk dziękując za łaskę z prośbą o dalszą 2.

Ks. Jan Trzopiński
admin. parafii w Żydaczowie.

Telegram giełdowy.

Wiedeń dnia 13. Lipca godz. 1. min. 50.

Akcye kred.	312·37	Węg. kolej półn. wschodn.	197·—
Alpiny	65·50	Wiedeńskie losy kom.	157·50
Kredyty węg.	356·50	Akcye tyton.	179·—
Anglobanki	152·—	Gal. obl. indem.	104·75
Uniony	242·—	Elbethale	239·50
Ludwiki	214·50	Länderbanki	218·50
Nordbany	281·—	Renta zł. węg.	110·10
Lombardy	97·75	Bankvereiny	114·—
Losy tureckie	41·30	Renta węg. p.	100.50
Staatsbahny	300·—	Ruble	1·18
Czerniowieckie	243·50		

Usposobienie słabsze.

Lwów. Z Izby handlowej 15 lipca 1892.

1. Akcye za sztukę.

bez kuponu bieżącego bez dywidendy.	płacą		żądają	
Kolej galic. Kar. Lud. 200 zł. w. a.	213	—	216	—
„ Lwow.-czer.-jass. 200 zł. w. a.	241	50	244	50
Banku hipotecz. galic. 200 zl. w. a.	324	—	330	—
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	—	—	212	—
Listy zastawne za 100 zł.				
Banku hip. galic. 5% 40 „	101	—	101	70
Banku hip. galic. 5% z 10% pr.	107	50	108	20
Banku hip. 4½% wa. lok. w 50 lat.	98	25	98	95
Banku krajowego 4½% wa.	98	50	99	20
Tow. kred. galic. 4% nieokr.	96	70	97	40
„ „ „ 4% „ 41½	95	10	95	80
„ „ „ 4% „ 52 l.	99	40	100	10
„ „ „ 4 „ 58	94	70	95	40
3. Listy dłużne za 100 zł.				
Z. G. kr. wł. (daw. 6%) 3% w likw.	60	—	62	—
„ „ „ „ (daw. 6%) 2½% „	52	—	55	—
4. Obligi za 100 zł.				
Indemnizacyjne galic. 5 prc. m. k.	104	50	105	20
Galic. fund. propinacyjnego 4%	94	—	94	70
Bukow. fund. propin. 5% w. a.	101	—	101	70
Kom. banku kraj. 5 prc. w. a. I em.	101	—	101	70
Pożyczka kraj. z r. 1873 z pr. w. a.	104	50	—	—
„ „ „ 1883 4½%	97	60	98	30
5. Losy.				
Losy miasta Krakowa	22	75	24	75
„ „ Stanisławowa . . .	29	50	32	50
6. Monety.				
Dukat holenderski	5.64		5.74	
Napoleondor	9.47		9.57	
Półimperyał rosyjski	9.65		—.—	
Rubel rosyjski srebrny	1.20		1.30	
„ „ papierowy . . .	116.7/10		118.7/10	
100 marek niemieckich	58.30		58.90	

Ruch pociągów kolejowych

ważny od dnia 1 maja 1892 r. według zegaru lwowskiego

Przychodzą do Lwowa	p. pośp.	p. pośp.	p. osob.	p. osob.	p. osob.	p. miesz.
Z Krakowa	6^{00}	$2^{?0}$	9^{10}	6^{16}	9^{32}	
Z Muszyny-Krynicy via Tarnów			9^{01}			
Z Podwołoczysk i Brodów (na dworzec główny)		2^{57}	9^{40}	7^{21}		
Z Podwołoczysk i Brodów na dworzec Podzamcze		2^{45}	9^{17}	6^{55}		
Z Suczawy	10[illegible]		$7^{?6}$	1^{42}	7[illegible]	
Z Kimpolungu	10[illegible]		7^{56}			
Z Radowiec	10[illegible]		7^{55}		7[illegible]	
Z Hliboki	10[illegible]				7^{06}	
Z Nowosielicy			7^{56}		7[illegible]	
Z Słobody rungurskiej	10[illegible]			1^{42}	7^{06}	
Z Husiatyna via Halicz	10[illegible]			1^{42}		
Z N. Sącza, Chyrowa, Stanisławowa i Stryja			9^{16}	2^{35}		
Z Suchy, N. Sącza, Chyrowa, Stanisławowa i Stryja			9^{16}			
Z Chyrowa, Stanisławowa i Stryja					1[illegible]	
Z Pesztu, Miskolcza, Munkacza, Ławocznego i Stryja			9^{16}		1^{41}	
Z Sokala i Bełzca						4^{48}
Z Sokala i Rawy ruskiej						8^{32}
Odchodzą ze Lwowa:						
Do Krakowa	$10^{4?}$	3^{07}	$5^{2?}$	11[illegible]	7[illegible]	
Do Muszyny-Krynicy via Tarnów					7^{56}	
Do Podwołoczysk i Brodów (z dworca głównego)	2^{58}		9^{41}	10^{28}		
Do Podwołoczysk i Brodów (z Podzamcza)	3^{10}		10^{02}	$10^{?2}$		
Do Suczawy	6^{36}		9^{56}	3[illegible]	$10^{?6}$	
Do Husiatyna via Halicz	6^{36}			3^{22}		
Do Słobody rungurskiej	6^{36}		9^{56}	3^{22}	$10^{?6}$	
Do Nowosielicy	6^{36}		9^{56}		$10^{?6}$	
Do Hliboki	6^{36}		9^{56}			
Do Radowiec	6^{36}		9^{56}		$10^{?6}$	
Do Kimpolungu	6^{36}			3^{22}		
Do Stryja, Chyrowa, N. Sącza i Suchy			6^{16}	10^{21}	7^{4}	
Do Stryja i Stanisławowa				10^{21}	7^{4}	
Do Stryja, Ławocznego, Munkacza, Miskolcza i Pesztu			6^{16}		7^{11}	
Do Bełzca i Sokala						$9^{5?}$
Do Sokala i Rawy Ruskiej						7^{36}

Uwaga: Godziny podkreślone kreską oznaczają porę od godziny 6 wieczorem do godziny 5 m. 59 rano.

14)

MATKA I MĘCZENNICA

POWIEŚĆ

przez

Pawła d'Aigremont.

Tłumaczona przez Leopolda Czapińskiego.

(Ciąg dalszy).

Odjechała do Gaskonii opanowana miłością tak gorącą, jaka kiedykolwiek mogła płonąć w sercu kobiety. By zostać księżną de Roquebrune, gotowa była zburzyć świat cały. Głowa jej zajęta była teraz jedynie myślą, jak namówić Horacego, by dał jej te miliony, których potrzebował Filip na urządzenie godnego jej domu.

Ale spotkał ją zawód krwawy. Gdy po trzech miesiącach nieobecności przybyła do Roche-Morte, zastała cały pałac zmieniony nie do poznania. Opuszczony dawniej park, został uporządkowany i nęcił klombami kwiatów; drewniane schody zamieniono nowemi z marmuru białego; u fasady zamku, jeszcze przed trzema miesiącami czarnego jak komin, pracowały gromady robotników, odnawiając rzeźby, kapitele i wszelkie ornamenta.

— Czyś ty zwaryował? — zapytała brata, spotkawszy go.

— Być może! — odrzekł Horacy z uśmiechem, jakiego Klara nigdy przedtem na jego twarzy nie widziała.

Wicehrabina zadrżała. P. de Cypières wydawał się odmłodzonym o jakie lat dziesięć.

— Nie lubię wszelkich zagadek — rzekła — powiedz jaśniej.

— Wszak kochasz mię, prawda? — zapytał.

— Czyż wątpisz o tem?

— Więc ciesz się mojem szczęściem, gdyż jestem najszczęśliwszym na ziemi człowiekiem. Żenię się.

— Ty!..

Gdyby piorun upadł u stóp Klary, nie wywarłby większego wrażenia. Przed oczyma jej zaczęły krążyć wszystkie przedmioty, a ona nie mogła nawet zapanować nad sobą.

— Dziwi cię to? — zapytał Horacy pobłażliwie. — Gdy zobaczysz sprawczynię tego cudu, przestaniesz się dziwić.

Opanowała nareszcie wzruszenie i rzekła z uśmiechem:

— Co za zapał!

— Bo nigdy jeszcze nie kochałem.

— Lepiej późno, niż nigdy.

— Jesteś okrutną!

— Bo nie masz przecież lat dwudziestu.

— Serce moje, które ich nigdy nie miało, liczy je dzisiaj.

— Jakże się nazywa ta komedyantka?

— Komedyantka!.. Cicho bądź, jeżeli nie chcesz stracić mego przywiązania. Przyszła hrabina de Cypières jest samą doskonałością. Nazywa się Marya Magdalena de Bram.

Pani de Mondragon, pomimo chęci ukąszenia tej, która zadała jej cios tak okrutny, zamilkła. Taką opinię miała Magdalena w całej okolicy, że wicehrabina nie mogła nic przeciw niej powiedzieć. Ale nie mogąc pomścić się na niej, postanowiła ugryźć ojca.

— Córka tego głupca, tego Don Quichota, zamiłowanego w chimerach, tego bankruta — odrzekła z pogardą.

Błyskawica trysnęła z óczu hrabiego.

— Baron Bram — odrzekł — przyjaciel mój od dzieciństwa, jest najuczciwszym człowiekiem na świecie. Powinnaś mówić o nim z jak największym szacunkiem. Jeżeli stracił majątek, to nie z własnej winy, lecz w skutek kilkoletniego nieurodzaju. Nie znam ani jednego człowieka w okolicy, któryby go nie szanował.

— Z tem wszystkiem swą córkę dwudziestoletnią sprzedaje człowiekowi, liczącemu tyle lat ile ma ich sam.

— Powiedziałem ci, byś milczała. Czy rozumiesz mię?.. Jeżeli powiesz jedno słowo więcej, rozstaniemy się na zawsze.

Padła na fotel i zakryła twarz rękami.

— Jestem uboga, a ty jesteś bogatym — wyjąkała ze łzami. — Zanadto dajesz mi to uczuć. Ah, gdyby matka nasza żyła, nie wiem co powiedziałaby na takie postępowanie ze mną.

Horacy uwielbiał swoją matkę, a to wspomnienie jej, tak zręcznie wypowiedziane, poruszyło go i wywołało wyrzuty sumienia.

— Jesteśmy podrażnieni, nie mówmy więc teraz o tem. Oświadczam ci tylko, że ślub mój odbędzie się za trzy miesiące i nic na świecie nie zdoła mu przeszkodzić. Jeżeli się zgadzasz, pozostaniesz tu i nadal, w razie przeciwnym nie zawaham się...

— Wypędzić mię ze swego domu. Ponieważ nie mam majątku, powinnam więc albo zadawać kłam swym przekonaniom, pochwalać związek śmieszny i niewłaściwy, albo, odtrącona przez ciebie, zostać bez chleba.

— Przestań... proszę cię na wszystko. Idź do siebie...

Powstała, postąpiła kilka kroków i wybuchając nagle łkaniem, zawołała:

— Ty nie kochałeś mnie nigdy!

Kłamała, wiedziała bowiem dobrze, że brat jej kochał tylko ją i matkę.

Horacy wzruszony, otworzył ramiona, w które rzuciła się i przytuliła do jego piersi.

— Warjatko, warjatko!... — powtarzał, całując jej głowę — czyż mogę cię mniej kochać dla tego, że zostaję mężem Magdaleny? Czyż dwa te uczucia podobne są do siebie?

Zadowolniona, że zdołała go rozczulić, rzekła odchodząc:

— Proszę cię, zastanów się dobrze, nim się zdecydujesz ostatecznie. Mnie sumienie nie pozwoli nigdy zgodzić się na to, co może stać się twojem nieszczęściem.

Słowa te wywarły na nim silne wrażenie. W pokoju, w którym zmarła matka jego, przepędził całą noc bezsennie, rozmyślając nad powziętem postanowieniem. Walczył z sobą, zjawiał mu się w wyobraźni czysty wzrok Magdaleny, łagodny, uczciwy, taki, jaki widział często, gdy pielęgnowała chorych, dodawała odwagi i pocieszała. Prawda, zgodziła się zostać jego żoną, by ocalić zrujnowanego ojca swego, lecz nie ukrywała tej pobudki przed nim.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Obwieszczenie.

Tegoroczne jesienne premiowanie koni odbędzie się w Galicyi wschodniej a mianowicie: w Stryju 19 Września, w Kałuszu 20 Września, w Złoczowie 24 Września, w Szczercu 26 Września.

W każdej z powyżej wymienionych miejscowości premiowane będą klacze w kraju chowane a to:

1. Klacze stadne ze źrebiętami.
2. Młode klacze.
3. Źrebice,

Jako nagrody państwowe będą rozdane:

I KATEGORYA.

a) Jedna nagroda pieniężna w kwocie	35	złr
b) „ „ „ „	20	„
c) „ „ „ „	15	„
d) Cztery nagrody pieniężne w kwotach po	10	„

II. KATEGORYA.

a) Jedna nagroda pieniężna w kwocie	20	„
b) „ „ „ „	14	„
c) Dwie nagrody pieniężne w kwotach po	10	„

III. KATEGORYA.

a) Jedna nagroda pieniężna w kwocie	25	„
b). „ „ „ „	20	„
c) Cztery nagrody pieniężne w kwotach po	10	„

Dalej rozdane będą w każdej z wymienionych trzech kategoryi srebrne medale państwowe.

WARUNKI.

A) Klacze od piątego roku wyżej bez ograniczenia co do maksymalnego wieku, jak długo są zdrowe, silne i dobrze odżywione, mają posiadać własności dobrych klaczy rozpłodowych i winny być przedstawione komisyi ze źrebiętami ssącemi lub odłączonemi, które muszą być uznane za udatne, przyczem należy udowodnić pochodzenie źrebięcia od ogiera rządowego albo licencyonowanego, prywatnego lub własnego

B) Młode klacze a to: trzechletnie niestanowione, czteroletnie stanowione albo niestanowione i pięcioletnie klacze własnej stadniny (*des Gestütsschlages*), ostatnie jednak pod warunkiem, jeżeli zostanie udowodnionem, że w roku premiowania zostały odstanowione przez ogiera rządowego, licencyonowanego prywatnego lub własnego, — klacze te muszą być dobrze odżywione i starannie chowane i muszą rokować, że będą dobremi klaczami rozpłodowemi.

C) Jednoroczne i dwuletnie źrebice muszą być przez posiadacza dobrze odchowane i rokować dalsze pomyślne rozwinięcie i wykształcenie i że będą kiedyś dobremi klaczami stadnemi.

D) Matki muszą być jeszcze przed czasem oźrebienia, młode klacze przynajmniej od roku a jednoroczne i dwuletnie od czasu ich urodzenia własnością ubiegającego się o nagrodę.

Młode klacze, które jako trzyletnie były w roku przeszłym premiowane, nie będą premiowane w roku bieżącym: natomiast cztero- i pięcioletnie premiowane w roku zeszłym, będą tylko w tym razie premiowane, gdy przedstawione zostaną już jako klacze stadne ze źrebiętami i jeżeli będą odpowiadać w zupełności warunkom poszczególnionym w punkcie A).

E) Każdy właściciel premiowanej pieniężną nagrodą rządową klaczy lub źrebicy musi się zobowiązać przez podpisanie rewersu, że ją zatrzyma jeszcze rok cały w własnej hodowli i przedstawi ją, jeżeli będzie przy życiu, w roku następnym komisyi na miejscu premiowania. W razie niedotrzymania przyrzeczenia zawartego w rewersie, winien bez oporu zwrócić otrzymaną nagrodę pieniężną Zarządowi c. k. Zakładu stadników rządowych w Drohowyżu.

Gdyby przedstawienie premiowanej klaczy komisyi na miejscu premiowania połączone było, czyto ze względu na znaczną odległość lub z innego ważnego powodu z wielkiemi trudnościami, winien właściciel pomienionej klaczy przesłać c. k. Zarządowi Zakładu stadników rządowych w Drohowyżu świadectwo wystawione przez Zwierzchność gminną, że klacz ta po upływie roku od czasu premiowania znajduje się w jego posiadaniu.

Z c. k. Namiestnictwa.

Lwów, dnia 9 Lipca 1892. 3766 1—1

Odpowiedzialny redaktor: **Ludwik Masłowski.** Papier Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. Zarządca: Walenty Hodak.